



Barbara Hannay

*Podkowa na szczęście*



## PROLOG

W trzy tygodnie po dwunastych urodzinach Piper O'Malley całe popołudnie przepłakała ukryta za szopą na traktory. Najgłupsze było to, że nie lubiła się mazać! Mazać się mogą dziewczyny, a ona akurat dzisiaj wcale nie chciała być dziewczyną.

Kiedy Gabe Rivers ją odnalazł, tylko trochę pociągała nosem, ale zdradziły ją opuchnięte, zaczerwienione oczy.

- Hej, żabko, uśmiechnij się! - powiedział. Przykucnął obok niej i objął pocieszającym gestem. - Czym się martwisz?

Wytarła oczy krawędzią koszuli.

- To chyba najgorszy dzień w moim życiu.

Spostrzegła jego zdziwienie. Gabe miał osiemnaście lat i jak wszyscy dorośli potrafił dostrzec, kiedy człowiek ździebko mija się z prawdą. Poprawiła się pospiesznie:

- Najgorszy był pewnie dzień, kiedy zginęli rodzice, ale byłam wtedy za mała i nic nie pamiętam.

- Jest aż tak źle? - spytał. - To brzmi groźnie. Co się stało?

Wtuliła twarz w jego ramię.

- Nie mogę ci powiedzieć. To straszne.

- Powiedz. Jakoś to zniósę.

Spojrzała w jego zielone oczy. Pełne troski i czułości oczy, które dodawały jej otuchy.

- Okres...-szepnęła.

- A, rozumiem - powiedział. - Hmm... Rzeczywiście trudna sprawa... Przypuszczam, że trudna...

Bała się, że Gabe odejdzie. Powie, że nie ma czasu, spieszy się, i pójdzie sobie. Właśnie skończył z jej dziadkiem kolczykowanie krów i mógłby wracać do domu, do Edenvale. Ale on się nie ruszał. Siedzieli długo, w zmiernym powoli świetle dnia, oparci o ścianę z falistej blachy, żując żdźbła świeżej trawy.

- Z czasem przywykniesz - powiedział w jakimś momencie.

- Nie, Gabe. Nigdy. Dlaczego muszę być dziewczyną? Chciałabym być chłopakiem. Chciałabym być podobna do ciebie.

Uśmiechnął się.

- A co w tym widzisz takiego fajnego?

- Wszystko! - krzyknęła z przekonaniem, wpatrzona w swojego idola. - Jesteś wyższy i silniejszy od dziadka. On ci nigdy niczego nie zabrania. Możesz zostać, kim chcesz. A ja, kiedy dorosnę, będę musiała niańczyć dzieci i pracować śmierzdzące skarpetki jakiemuś facetowi.

Gabe roześmiał się głośno.

- Poczekaj, niedługo wyjedziesz do szkoły. Przekonasz się, że dzisiaj dziewczyny mają takie same szanse, jak chłopcy.

- Ale ja chcę hodować bydło. Słyszałeś kiedyś o hodowczyniach?

Żartem zsunął jej kapelusz na oczy. Puknęła od dołu w szerokie rondo, a kiedy akubra, tradycyjny australijski kapelusz, wróciła do poprzedniej pozycji, Piper zobaczyła,

że zgasły wesołe iskierki w oczach Gabe'a. Nagle spoważniał i posmutniał.

- O co chodzi?

Pokręcił głową.

- O nic, myszko. Drobiazg. To naprawdę nic ważnego - wykręcał się.

- Gadaj, Gabe. Ja ci się zwierzyłam z mojego okropnego sekretu, nie powiedziałam tego nawet mojej najlepszej koleżance. Mówże, nikomu nie powtórzę.

- No dobrze... Widzisz, mężczyźni też mają swoje problemy.

- Musicie się golić?

Znowu się zaśmiał.

- To też. Ale bywa gorzej.

- Łysienie?

- Nie, chodzi mi o inne sprawy. Czasem bywa trudno realizować swoje plany. Ojciec spodziewa się, że zostanę w Edenvale.

- Jasne, że powinieneś zostać - stwierdziła. - Nie chcesz?

Skrzywił się.

- Nie chcę. Pewnie cię zaskoczę, ale ja nie zamierzam zajmować się hodowlą bydła.

- Chyba żartujesz!

Była wstrząśnięta. Nie wyobrażała sobie, że ktoś mógłby nie lubić tego wspaniałego życia, a do tego przeraziła ją myśl, że Gabe mógłby opuścić pobliskie Edenvale.

- A co chciałbyś robić?

- To! - wskazał olbrzymiego orła, kołującego nad nimi.

Piper z zachwytem patrzyła, jak silne, ciemne skrzydła

wynoszą ptaka coraz wyżej i wyżej w gasnący błękit popołudniowego nieba. Nagle znieruchomiał i trwał w jednym punkcie, wykorzystując ciepłe prądy powietrza.

- Wspaniale, prawda? - twarz Gabe'a rozświetlał entuzjazm. - Dałbym wszystko, by móc tak latać, wzbijać się w górę i zawisać w powietrzu z taką swobodą. Mam powyżej uszu przywiązania do ziemi i stad tępych, unurzanych w pyle zwierząt.

Piper ujrzała go w zupełnie nowym świetle. Gabe nigdy przedtem nawet nie wspominał o swych marzeniach.

- Gdzie mógłbyś się uczyć latania?

- W zeszłym tygodniu był w Mullinjim oficer rekrutacyjny - wyjaśnił Gabe, wciąż wpatrzony w nikoną sylwetkę orła. - Podpiszę kontrakt i będę się uczył latać śmigłowcem Black Hawk.

Wpatrywał się w ptaka z tak intensywnym pragnieniem, że Piper, mimo swego młodego wieku, pojęła nieodwracalność jego decyzji. Wyczuwała instynktownie, że Gabe podąży za swym marzeniem. Za marzeniem, które go jej odbierze, być może na zawsze.

Poczuła ucisk w żołądku. Chciałaby być starsza i bardziej pewna siebie, by nie dostrzegł, jak ona rozpada się na kawałki na samą myśl o jego wyjeździe.

- A więc w czym problem? - spytała drżącym głosem.

- Rodzice nie chcą się zgodzić?

- Zupełnie im się ten pomysł nie podoba. Ale ja jadę, Piper. To postanowione.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### *Jedenaście lat później...*

To powinien być cudowny wieczór.

Piper uwielbiała busz po zmroku, gdy w chłodnym powietrzu unosił się ostry aromat eukaliptusów, a drzewa gumowe wyciągały do księżyca srebrnobiałe gałęzie.

I Gabe wrócił.

Wszystko byłoby wspaniałe, gdyby nie stres narastający cały wieczór.

Układała w głowie pytania, które chciała mu zadać, ale cokolwiek wymyśliła, brzmiało żałośnie. Musiała jednak przeprowadzić tę rozmowę, po prostu musiała, nie mogła stchórzyć.

Zamknęła oczy i westchnęła głęboko.

- Gabe, potrzebuję twojej pomocy. Muszę znaleźć męża.

A niech to! Wypowiedziane głośno słowa zabrzmiały znacznie gorzej, niż powtarzane w myśli. Stało się, już za późno. Trudno. Pozostawało czekać na odpowiedź.

Cisza...

Ukryci w cieniu granitowego głazu wypatrywali, czy na pobliskich pastwiskach nie pojawią się tej nocy złodzieje bydła.

Gdyby choć mogła zobaczyć teraz jego minę.

- Gabe? - szepnęła.

Może uznał jej prośbę za tak głupią, że nie zasługiwała na odpowiedź? Nie powinna była w ogóle poruszać tego tematu. Dopiero kilka dni temu wrócił do domu, a ona, mało że wyciągnęła go na tę nocną eskapadę, to jeszcze żąda pomocy w kwestiach matrymonialnych. Trudno się dziwić, że Gabe nie ma ochoty mieszać się w jej osobiste problemy.

Gabe wstał, pod jego butami zachrząściły kamyki.

- Od kiedy tak ci pilno znaleźć męża?

W ciemności jego głos zabrzmiał donośnie i kpiąco. Wzdrygnęła się. Czyżby się z niej naśmiewał?

- Od niedawna.

Dokładnie od wczoraj, bo właśnie wczoraj dziadek oznajmił jej okropną nowinę.

Gabe umilkł. Przeciagnął się i odszedł kilka kroków. W księżycowej poświacie Piper dostrzegła grymas bólu na jego twarzy, gdy zgiął nogę w kolanie.

Lekka sztywność prawej nogi była jedynym widocznym śladem tragedii. Gabe był wysoki i wysportowany, świetnie zbudowany, wojskowa postawa, krótko przystryżone włosy. Mocne rysy. Patrząc na niego, łatwo było zapomnieć, że ten przystojny, silny mężczyzna omal nie zginął w wypadku samochodowym i musiał z tego powodu rozstać się z mundurem.

Podszedł teraz do Piper i połaskotał ją po nosie zerwaną trawką.

- Co to za historia z tym mężem? Jesteś za młoda, żeby wychodzić za mąż.

- Bzdura. Mam dwadzieścia trzy lata.

- Naprawdę? - zdziwił się.

- Oczywiście.

Przecież potrafi chyba liczyć. Miał sześć lat, gdy urodziła się Piper. Teraz jednak przeżuwał tę informację, jakby mu oznajmiono coś nadzwyczajnego.

- Skąd ten pośpiech? - zapytał w końcu.

- Gabe, małżeństwo jest dla mnie jedynym sensownym rozwiązaniem.

- Rozwiązaniem czego?

- Wczoraj dziadek mi powiedział... - głos jej się załamał, a do oczu napłynęły łzy, powstrzymywane przez ostatnią dobę. - Lekarze obawiają się, że następny zawał prawdopodobnie... będzie tym ostatnim...

Przytłoczona własnymi smutkami, gotowa lada chwila wybuchnąć płaczem, zachwiała się. Gabe otworzył ramiona, objął ją, przytulił, a ona złożyła mu głowę na piersi. To było takie naturalne - znaleźć pocieszenie w objęciach starego, dobrego przyjaciela. Właśnie tego najbardziej teraz potrzebowała.

- Lekarze zrobili wszystko, co można? - spytał cicho. Kiwnęła nieznacznie głową.

- W ciągu ostatnich pięciu lat miał trzy operacje. Ciągłe jeździ na badania kontrolne.

Gabe westchnął.

- Dziwi mnie, że mu to tak wprost zakomunikowali.

- Znasz dziadka. Sam ich zmusił do powiedzenia całej prawdy bez owijania w bawełnę.

- A teraz ciebie chce przygotować na najgorsze. Wiesz, jak bardzo cię kocha.



- Wiem - wyszłochała. - Kocha i nie chce, żebym się o niego zamartwiała.

Pociągając nieelegancko nosem, walczyła z kolejną falą łez.

- Jest jeszcze jedna zła nowina. Dziadek planuje sprzedać Windaroo. Nie wierzy, że sobie poradzę bez niego - dodała, unosząc głowę.

- Pewnie obawia się, że cię zostawi z kłopotami.

- Ale ja nie mogę pojąć, że chce sprzedać posiadłość! To straszne: mam stracić i jego, i Windaroo - westchnęła spazmatycznie. - Ciężko pracowałam, żeby utrzymać nasze gospodarstwo. Kocham Windaroo.

Piper była pewna, że stary przyjaciel rozumie, jak musiały ją przygnębić ostatnie wiadomości. Czy jednak nie oczekuje od niego zbyt wiele? W końcu dziesięć długich lat spędził w wojsku, a przez ostatni rok, po wypadku, miał dość własnych problemów.

Gabe rozluźnił uścisk i odchylił się, by widzieć jej twarz.

- A więc myślisz, że jeśli znajdziesz męża, to Michael zmieni zdanie?

Westchnęła i cofnęła się o krok. Jeśli oczekiwała od Gabe'a pomocy, musiała mu wyłożyć wszystko bardzo jasno.

- Nie widzę innego sposobu. Mężczyznom z pokolenia dziadka po prostu nie mieści się w głowie, że dziewczyna mogłaby sama prowadzić gospodarstwo hodowlane. Z mężem - to całkiem inna sprawa.

- Chyba masz rację. Sądzę, że małżeństwo rozwiązałoby problem. Ale to bardzo poważny krok.

Przyglądał się jej badawczo.

- Wiem. Dlatego potrzebna mi pomoc.
  - Na litość boską, Piper! - wykrzyknął, kręcąc głową.
- Jak mam ci pomóc w znalezieniu męża? Czego po mnie oczekujesz?

Odwróciła wzrok. Czas schować dumę do kieszeni.

- Bo widzisz... faceci... twój brat Jonno i cała reszta... Oni po prostu nie widzą, że jestem kobietą.

Gabe skwitował to tragiczne wyznanie głośnym chichotem, co Piper uznała za wysoce nietaktowne.

- Och, Piper! - wykrztusił. - Nie mówisz chyba serio.
- Poważnie. Oni wszyscy uważają mnie za kumpla, tak mnie traktują. A ja mam tego szczerze dosyć.
- Ależ nikt nie mógłby traktować cię jak mężczyznę. Jesteś taka... Taka mała.

Przyglądał się jej, zatknawszy kciuki za pas.

- Mała kobietka...
- Skąd możesz wiedzieć, Gabe? Kiedy ostatnio byłeś tu na jakiejś imprezie? Problem polega na tym, że razem z nimi przepędzam bydło, potrafię spętać wołu, a nawet wytrzebić byczka. I dlatego zapominają, że jestem dziewczyną. Nawet nie próbują mnie podrywać. Jestem dla nich dobrym kumplem... tak jak dla ciebie.

Gabe spoważniał i z namysłem pocierał brodę.

- Hm... Musisz pamiętać, że faceci lubią imponować kobietom. Może problem polega na tym, że potrafisz wszystko, co oni. I robisz to cholernie dobrze.

- Chyba nie sugerujesz, że powinnam być słaba i niezaradna?

Zmierzył ją uważnym spojrzeniem i uśmiechnął się.

- Boże broń.

Rozejrzał się dookoła i zerknął na zegarek. Czatowali na złodziei już od czterech godzin. Piper westchnęła. Gabe pewnie myśli, że wyciągnęła go tutaj tylko po to, by uraczyć opowieściami o problemach z płcią przeciwną.

- Nie ma pewności, że pojawią się tej nocy, ale zwykle wykorzystują pełnię.

Miesiąc temu skradziono bydło z zagrody przy południowym krańcu posiadłości, a wcześniej z pastwisk na wschodzie. Złodzieje działali zawsze w ten sam sposób: zajeżdżali nocą na najdalej wysunięte pastwiska, szybko zapędzali bydło do ciężarówki i wywozili je z doliny bocznymi drogami.

Tej nocy Piper i Gabe zaczęli się przy wschodniej granicy farmy, gdzie kilka dni wcześniej Piper odkryła podejrzane ślady opon motocyklowych.

- Rozpakujmy plecaki i usiądźmy wygodnie - rzekła, myśląc o jego chorej nodze. - Mam zamiar przekupić cię zupą pomidorową.

Znaleźli płaski spłachetek ziemi, wybierali kamienie i ułożyli sobie legowisko. Piper wyszperała z plecaka termos i rozlała do kubków gorącą, aromatyczną zupę.

- Przepraszam, że ci zawracam głowę swoimi problemami.

- Nie przepraszaj. Przywykłem do tego - odpowiedział z uśmiechem.

To jej przypomniało, jak za dawnych czasów biegła do niego z każdą sprawą i jak bardzo czuła się samotna, kiedy wyjechał. Nigdy nie rozumiała jego decyzji, ale w jakiś sposób tamto rozstanie wzmocniło ją i utwierdziło w postano-

wieniu pozostania w Windaroo, jakby chciała dowieść sobie i jemu, że warto tu żyć i zmagać się z losem.

- Czemu masz taką smętną minę? - spytał, wyrwijając ją z zadumy.

Roześmiała się i wzruszyła ramionami.

- Mam parę spraw do przemyślenia.

Gabe odstawił kubek. Ich spojrzenia spotkały się. W świetle księżyca jego zwykłe żywe, błyszczące oczy wydawały się ciemne i tajemnicze.

- Piper, nie musisz na gwałt szukać męża.

Jęknęła poirytowana.

- Nie mów mi, że mam skapitulować i pozwolić dziadkowi sprzedać Windaroo.

- Z pewnego punktu widzenia to mógłby być niezły pomysł.

- Z jakiego punktu widzenia?

- A gdyby... Gdybym to ja kupił Windaroo? Michael chyba by się zgodził.

Jego słowa kompletnie ją zaskoczyły. Piękna wizja: oto dwoje serdecznych przyjaciół prowadzi wspólnie interesy, dba o posiadłość, mieszka tu razem aż do późnej starości. Piper omal nie wypuściła kubka z dłoni. Dla takiego marzenia warto żyć.

- Chciałbyś rzeczywiście to zrobić? - spytała cicho.

- No cóż, jest taka możliwość. Jonno chciałby wykupić moje udziały w Edenvale, dostałem niezłą odprawę z wojska i rozglądam się za jakąś inwestycją. Mógłbym kupić Windaroo, zatrudnić kilka osób i przekazać wszystko w twoje ręce. Mogłabyś prowadzić farmę, jak długo byś chciała.

Zmarszczyła brwi.

- Ale co z tobą? Co ty byś robił?

Wzruszył ramionami. Piper dostrzegła gorycz na jego twarzy.

- Nie wiem. Jeszcze nie zdecydowałem, co chciałbym robić przez resztę życia. Już nie zasiądę za sterami Black Hawka, ale mógłbym się zająć spędzaniem bydląt helikopterem albo szkoleniem innych pilotów. Mogę też przenieść się do miasta. Stale jeszcze mam jakiś wybór.

Trzymając w dłoniach stygnący kubek i kreśląc obcasem kręgi w pokrywającym grunt pyle, Piper próbowała otrząsnąć się z rozczarowania. To oczywiste. Gabe wcale nie zamierzał się tu osiedlić. Przecież uciekł z buszu w poszukiwaniu przygód. Po co miałby się zajmować podupadającą farmą, jeśli kusił go świat? Podniecający świat, pełen nowych wyzwań i interesujących, seksownych kobiet. Jak mogła zapomnieć, że Gabriel Rivers jest atrakcyjnym twardzielem i pogromcą kobiecych serc? Poczwała ucisk w gardle.

- To bardzo wspaniałomyślna oferta, Gabe, ale nie mogę jej przyjąć. Źle bym się czuła w roli zarządcy rodzinnej ziemi. Rozumiesz to?

- Zdawało mi się, że chcesz tu zostać za wszelką cenę.

- Tak, bardzo chcę, ale lepiej będzie, jeśli znajdę męża. Dziadek nie sprzeda Windaroo i wszystko będzie nadal do mnie należało. No, do mnie i mojego męża, ale jednak pozostanie w rodzime.

- To był tylko luźny pomysł - powiedział, patrząc w dal.

- Miałam nadzieję, że udzielisz mi kilku wskazówek, jak mam złowić faceta.

Wolno zwrócił wzrok w jej stronę i długo przyglądał się jej w milczeniu.

- Szukasz rady u niewłaściwej osoby, Piper - rzekł w końcu.

Roześmiała się z niedowierzaniem.

- Daj spokój, Gabe, przecież jesteś ekspertem. Wszyscy wiedzą, jakie piorunujące wrażenie wywierasz na kobietach. Miałam już dość opowieści o stadach dziewczyn, lgnących do ciebie jak muchy do miodu. Wielkomiejskich dziewcząt, omdlewających na widok zawadiackiego kowboja.

- Stada dziewczyn? - zaśmiał się gorzko. - Nie powinnaś słuchać plotek.

- Widziałam to na własne oczy za każdym razem, kiedy przyjeżdżałeś na urlop. Te grupy wielbicielek, ciągnące z miasta, żeby podziwiać twoje kowbojskie popisy.

Zirytowała się na to wspomnienie.

- Tym razem chyba nie zauważyłaś, żeby ktoś przyjechał za mną?

- Nie - przyznała cicho i przygryzła wargę. Być może dotknęła czułego punktu. Odwiedzając go z dziadkiem w szpitalu, nie spotkała żadnej z jego miejskich przyjaciółek. Zapewne zabrakło im wytrwałości, by znosić długie miesiące jego rehabilitacji.

- Wiesz, dziadek sądzi, że z jego winy stałam się chłopczycą, bo zgodził się, bym wróciła tu zaraz po szkole i rozpoczęła praktykę na farmie. Uważa, że powinnam dalej studiować albo nawet wyjechać gdzieś za morze, poznać świat, ludzi. Mówi, że to poszerzyłoby moje horyzonty. Tak było przecież z tobą.

Gabe skinął głową.

- Może nie jest za późno. Jeżeli postanowiłaś wyjść za mąż, znajdziesz miliony kandydatów w miastach na całym wybrzeżu.

- Ale co mi po facecie z miasta? Potrzebuję farmera, a nie jakiegoś bankowca czy maniaka komputerowego - westchnęła. - I w buszu jest dość kandydatów, nie w tym rzecz. Problem polega na tym, że nie wiem, jak się do tego zabrać. Nigdy nie zajmowałam się sprawami, którymi zwykle zajmują się dziewczyny. Nawet w szkole nie obchodziła mnie moda ani makijaż. I nigdy nie umiałam... nie próbowałam,...

- Flirtować? - podsunął z uśmiechem.

- Tak, o to mi chodzi. Flirtować! Tego właśnie nie potrafię, nie wiem nawet, jak zacząć. A przecież dziewczyna, która chce zainteresować faceta, musi to umieć?

Chmura zasłoniła księżyc i Piper nie widziała twarzy Gabe'a. Może irytowała go rozmowa o jej tak osobistych sprawach?

- Chyba wybrałaś złego doradcę - rzekł szorstko. - Mógłbym cię nauczyć niewłaściwych rzeczy.

Jakich niewłaściwych rzeczy? Pomyślała o tamtych miejskich dziewczynach i zapłonęły jej policzki.

Za chwilę ponownie objęła ich srebrna poświata. Gabe przyglądał się jej w zamyśleniu.

- A więc chcesz wiedzieć, jak się podobać mężczyznom i jak ich podrywać?

Słowa Gabe'a przyprawiły ją o nerwowe drżenie. Może powinna mu powiedzieć, żeby zapomniał o tej rozmowie? Nie potrzebowała jego rad. Nie miała doświadczenia, ale

z książek, telewizji i męskich przechwałek przy ognisku wyniosła sporą wiedzę o sprawach seksu.

Ale to była teoria.

Przypomniała sobie ostatnie party. Jonno, brat Gabe'a, prosił ją na boku, by szepnęła Suzanne Heath jakieś pochlebne słówko o nim. Zdała sobie sprawę, że jej koledzy zawsze tak postępowali: traktowali ją jak kumpla, równą dziewczynę, pośredniczkę ułatwiającą poznanie innych dziewczyn. Nigdy jednak nie widzieli w niej obiektu pożądania.

Spojrzeni na siebie.

- Jestem pewien, że nie potrzebujesz lekcji flirtu - powiedział Gabe łagodnie. - Lepiej naradźmy się, co robić, kiedy zjawia się te łobuzy.

- Nie trzeba - odpowiedziała szybko. - To tchórze, łatwo ich wystraszymy. Chcę się dowiedzieć tego, o czym właśnie mówiłeś. Jak podrywać facetów i sprawiać im przyjemność.

- Żartowałem - burknął.

- Ale ja nie żartuję.

Westchnął głośno i zaśmiał się ironicznie.

- Piper O'Malley, żadasz lekcji poglądowej?

- Jak najbardziej - odpowiedziała bez namysłu i serce zabiło jej jak młotem.



## ROZDZIAŁ DRUGI

- Jak złowić mężczyznę? No dobrze, zastanówmy się...  
- Gabe przerwał, śledząc lot znikającej w dali sowy. - Prawdę mówiąc, nigdy się nie zastanawiałem, dlaczego facet zwraca uwagę na kobietę - to chyba instynkt. Myślę, że zmysły reagują, zanim zdamy sobie sprawę, co się dzieje.

- Zmysły? Chodzi ci o wzrok, słuch i te rzeczy? - ożywiła się Piper. Ta informacja mogła mieć praktyczne znaczenie.

- Tak. Powiedziałbym, że dla mężczyzn najważniejszy jest wzrok.

- No tak... Oni nie widzą we mnie kobiety, więc mam kiepskie szanse...

Przyjrzał jej się uważnie, mrużąc oczy.

- Niełatwo dostrzec, co się kryje pod tym kapeluszem, rozciągniętym T-shirtem, dżinsami i butami do konnej jazdy.

Poruszyła się niespokojnie.

- Myślisz, że powinnam nosić o dwa numery za małe sukienki, jak Suzanne Heath? Ta dziewczyna, za którą ugania się Jonno?

- Wpadł ci w oko mój braciszek? - spytał nerwowo.

- Och, niekoniecznie. To przykład. Prawie każdy się nada. Pamiętaj o mojej sytuacji.

Wychylił się ku niej gwałtownie i chwycił za ramiona.

- Piper, obiecaj mi jedną rzecz - rzucił porywczo, patrząc jej prosto w oczy.

- Tak? - szepnęła cicho, bardzo zaskoczona jego zachowaniem.

- Nie sprzedawaj się byle komu. Nie wolno ci wyjść za faceta, którego nie kochasz.

- Może nie mam wielkich wymagań - odpowiedziała, spuszczać wzrok, by uciec przed jego badawczym i palącym spojrzeniem.

- Powinnaś wybrać wartościowego partnera. Mężczyznę, który będzie cię uwielbiał. Zasługujesz na to.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu i puścił jej ramiona.

- Postaram się o tym pamiętać - odpowiedziała, wstrząśnięta jego reakcją. - Ale wpiery muszę przyciągnąć czyjaś uwagę. A ja nie lubię mini i dekoltów.

- Dlaczego?

- No, nie wiem... To chyba niewygodne. Nigdy się tak nie ubierałam.

Roześmiał się, wyraźnie rozluźniony.

- Nie zaszkodzi spróbować.

- Dziewczyny, które to noszą, mają fantastyczne figury.

- Ależ tobie niczego nie brakuje! - odparł z uśmiechem. Piper nie była pewna, czy Gabe mówi to szczerze.

- Moje kształty są... drobne tu i ówdzie. Może powinienam coś z tym zrobić?

- Mąż mógłby się rozczarować, odkrywwszy skarpetki w twoim staniku.

- Ale wtedy już będzie za późno - stwierdziła lekceważąco.

Gabe pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Musisz się wiele nauczyć, skarbie.

Piper zastanawiała się, czy kiedyś spotka kogoś, z kim mogłaby dzielić, jak z Gabe'em, swoje najintymniejsze sekrety.

Gabe wyciągnął rękę i pociągnął ją za koński ogon.

- Zdejmij to - nakazał.

Z wahaniem ściągnęła gumkę i pokręciła głową, rozpuszczając sięgające ramion, złociste włosy.

- Powinnaś to robić częściej. Masz piękne włosy. Możesz nimi zauroczyć... każdego... Zwłaszcza w świetle księżyca...

- Uważasz, że powinnam czesać się inaczej i nosić kuse spódniczki?

- Nie zaszkodzi trochę podkreślić kobiecość.

- Dobrze, a co z innymi zmysłami? Słuch? Nie wiem, czy potrafię mówić niskim, namiętym głosem.

Uśmiechnął się.

- Nieważne, jakim tonem powiesz gościowi, że jest świetnym facetem. Pochlebstwa są częścią gry. Zresztą twój głos brzmi świetnie.

- Pocieszyłeś mnie. A węch? Jakie zapachy robią wrażenie na mężczyznach?

- Naturalny zapach włosów i czystej skóry...

- A perfumy?

- Jeżeli, to delikatne. Coś, co podkreśli twoją kobiecość, ale jej nie zagłuszy.

Wyobraźnia podsunęła jej niepokojącą wizję pięknej kobiety w objęciach Gabe'a. Dziewczyny o długich, jedwabistych włosach i wspaniałych kształtach. I ust Gabe'a, pieścących jej szyję i spijających aromat jej kobiecości.

Z zamyślenia wyrwało ją głośne chrząknięcie. Co się działo z Gabe'em? Sprawiał wrażenie równie zakłopotanego jak ona. Trzeba szybko przebrnąć przez tę rozmowę. Które zmysły pozostały nieomówione? Dotyk i smak. O rany, nie! Lepiej dać z tym spokój.

- Dotyk i smak nie odgrywają chyba istotnej roli we flircie?

- Są bardzo ważne, jeśli szukasz męża.

Coś w głosie Gabe'a spowodowało, że poczuła ucisk w piersiach.

- No dobrze, ale myślę, że zaczynają odgrywać rolę później, kiedy od flirtu przechodzi się do pocałunków.

- Piper z trudem łapała oddech. - Dobra, Gabe, dzięki za rady. Sądzę, że omówiliśmy wszystko.

Gabe jednak, a niech to, wyraźnie nie miał zamiaru porzucić tematu. Jego głęboki głos zabrzmiał donośnie w mroku nocy:

- Piper, chyba nie czujesz lęku przed intymnością?

Serce zabiło jej gwałtownie, aż poczuła szum krwi w uszach.

- Ja... Chyba nie...

Ale nie była wcale tego pewna. W kwestii pieśczo-  
t i pocałunków miała skromne doświadczenia - niektóre były dość przyjemne, inne zdominowało poczucie skrępowania. Teraz jednak rozmawiała z Gabe'em, jedyną osobą, z którą mogła poruszać takie tematy.

- Nie wiem. Może się obawiam... - dodała cicho.

Przechylił się ku niej i opuszkami palców dotknął delikatnie jej policzka, tak delikatnie, że ledwo to poczuła. Uświadomiła sobie, że chce czuć ten dotyk, potrzebuje go.

Przymknęła oczy i przytuliła twarz do jego ciepłej dłoni. Oddychał głośno, a jego kciuk wędrował ku jej szyi i z powrotem. To było słodkie i ekscytujące.

Jego silne palce krążyły wolno, wolniutko między jej policzkiem, brodą i wargami, budząc nieznana, żywą wrażliwość jej skóry.

Nagle jego dłoń znieruchomiała. Nie! Jeszcze! Zdumiona swą śmiałością Piper przycisnęła usta do jego palców.

- Wiesz o dotyku więcej, niż chcesz przyznać - wychrypiął wprost do jej ucha.

- Nie - szepnęła. - Ale chcę się uczyć, Gabe.

Rozchylone wargi przywarły mocniej do jego palców, a gdy dotknął ich koniuszek języka, fala gorąca ogarnęła jej całe ciało. Twarz jej płonęła. Zapragnęła, by jego usta wędrowały po jej twarzy, jak wcześniej jego palce. Tak, chciała, by poczuł smak jej skóry.

- Mógłbyś mnie pocałować? - wyszeptwała. - Tak... dla sprawy?

Zamknęła oczy. Gabe ujmował teraz jej twarz obiema dłońmi. Był blisko, tak cudownie blisko. Czy spełni jej prośbę?

- Nie powinienem cię całować - rzekł, odsuwając się nieco. - Co ja wyprawiam?! - krzyknął, zrywając się na równe nogi.

Poczuła się głupio. Co się z nią dzieje?! Jego pieszczoty sprawiły, że omal nie rzuciła się mu w ramiona. Jak mogła aż tak się zapomnieć? Z Gabe'em?!

Gabe bezradnie zamachał rękoma i ni to westchnął, ni zamruczał gniewnie.

- Piper, ty jesteś kompletnie bezbronna wobec mężczyzn!

Czyżby miał rację? Paliły ją policzki. Jak to się stało? W którym momencie ich rozmowa przybrała tak niebezpieczny obrót? Może to właśnie jej zmysły zareagowały szybciej niż głowa?

Gabe chodził nerwowo, skrzypiąc długimi butami. Raptem stanął i obrócił ku niej rozemocjonowaną twarz.

- Na Boga, jeśli będziesz szukała męża w taki sposób, trafisz w objęcia niewłaściwego faceta!

Wpatrywała się w niego, kompletnie zagubiona. Przed chwilą pieścił ją czule i wydawało się, że pragnie pocałunku tak, jak ona, a teraz widziała go bardziej poruszonego i zagniewanego niż kiedykolwiek.

Ale o co mu właściwie chodzi?! Wszak to on mówił, jak pięknie wyglądają jej włosy w świetle księżyca. On pierwszy poruszył temat intymności. Ona mu zaufała, pozwalając się wieść, aż jej zmysły wzięły górę...

Do diabła, też była zła.

- Nie daj Boże, bym miała trafić na niewłaściwego faceta. Nie chcę nikogo podobnego do ciebie, Gabrieli Rivers.

Mierzyli się wzrokiem przez długą chwilę. W końcu Gabe wzruszył niedbale ramionami, a usta wykrzywił mu przelotny uśmiech.

- Dobrze, że sobie to wyjaśniliśmy.

## ROZDZIAŁ TRZECI

- Dopadliście tych łajdaków?

Michael Delaney siedział na werandzie, kiedy krótko po świcie wygramolili się z pickupa.

- Ani widu, ani słychu - burknął Gabe.

- Jak się czujesz, kochany? - spytała Piper, całując dziadka i chwytając w obie ręce jego osłabłą dłoń. Przyglądała mu się z niepokojem. - Czy Roy tu nocował?

Roy, równie wiekowy jak dziadek, całe życie przepracował na farmach hodowlanych. Kiedy stracił siły, zamieszkał w małym domku na terenie Windaroo i dorywczo pomagał w gospodarstwie.

- Wymknął się do siebie, kiedy usłyszał, że wracacie.

- Jak spałeś?

- Dość dobrze.

- Pamiętałeś o lekach?

- Wziąłem te cholerne tabletki co do jednej. Czuję, jak mi grzechoczą w żołądku - westchnął dziadek. - Ale zostawmy to, opowiedzcie, jak wam minęła noc.

Piper niecierpliwym ruchem odgarnęła opadający na oczy kosmyk. Od rana, kiedy nie mogli znaleźć jej opaski na włosy, była zła i spięta. Gabe widział, że Michael uważnie przypatruje się nietypowej, rozwichrzonej fryzurze wnuczki.

- To była piękna, wiosenna noc. Pełnia, i tak dalej, musiało być przyjemnie - ciągnął niewinnie dziadek, przyglądając się badawczo obojgu.

- Dopiero sierpień, do wiosny jeszcze daleko - mknęła Piper.

Dziadek skwitował jej uwagę wymownym uśmiechem i umościł się wygodniej w krześle. Gabe zastanawiał się, co tak cieszyło Michaela. On sam miał za sobą diabelnie męczącą noc i był pewien - choć nie mówili o tym - że Piper też ani na chwilę nie zmrużyła oka. Michael, widząc ich ponure miny, przestał się uśmiechać.

- Byłam pewna, że złodzieje zjawią się tej nocy. Wścieknę się, jeśli się okaże, że dobrali się do innego stada - powiedziała Piper, odgarniając ze złością włosy z czoła.  
- Niepotrzebnie zaciągnęłam tam Gabe'a.

Gabe odwrócił wzrok, by Michael nie spostrzegł jego zakłopotania. Dzięki Bogu, nic się nie wydarzyło, choć niewiele brakowało. Niepokojąco niewiele. To było głupie - uwikłać się w tę dyskusję. Skąd miał jednak wiedzieć, że Piper tak zmysłowo zareaguje na jego dotyk, a on sam ledwie się oprze jej kuszącym wargom? W efekcie powstałe między nimi napięcie zburzyło dotychczasową przyjacielską swobodę.

- Jesteśmy okropnie głodni - rzuciła Piper. - Zaraz przygotowuję śniadanie.

Nie oglądając się za siebie, pospieszyła do domu. Gabe czuł, że chce się schować przed nim.

- Siadajże - rzekł Michael. - Piper nie lubi, gdy się jej przeszkadza w kuchni.

Gabe skrzywił się, wolno opadając na krzesło. Po bez-



sennej nocy spędzonej na twardej ziemi świeżo zagojone rany dawały o sobie znać.

Długo siedzieli w milczeniu, patrząc na rozległe państwiska Windaroo.

Nagle wróciły tamte obrazy. Zamiast zalanej słońcem zielonej równiny Gabe widział zasypaną okruciami szkła szosę, pogięte blachy i własne połamane kończyny. Dałby wiele, by uwolnić się od tych zmór, zbyt często atakujących jego umysł. Nasłuchiwał się dość terapeutycznych gadek, by rozumieć powód: był nim tłumiony gniew. Gdyby został ranny podczas służby, zapewne łatwiej pogodziłby się z losem. Brał udział w misjach ONZ w miejscach tak gorących, jak Somalia, Kambodża i Rwanda. Wielokrotnie był pod ostrzałem, dwa razy lądował przymusowo, ryzykując rozbicie maszyny.

O ironio, wyszedł bez szwanku z tych wszystkich opresji, a podczas urlopu załatwiła go na autostradzie jadąca zbyt szybko ciężarówka!

Dość tego!

- Ziemia potrzebuje deszczu - rzekł, szukając banalnego i bezpiecznego tematu. Nie chciał rozmawiać o Piper.

Michael mruknął potakująco i obrócił się ku Gabe'owi.

- Czy Piper ci mówiła, że rozmawiałem z nią o...

O przyszości?

- Tak - potwierdził. Po chwili milczenia dodał, klepiąc starego po ramieniu: - Przykro mi słyszeć złe wieści, Michael.

- Ja się martwię o nią.

- To ją zdruzgotało, rzecz jasna.

Michael przeszył go spojrzeniem.

- Znasz moją wnuczkę prawie tak dobrze, jak ja. Mylisz, że zachowa rozsądek w obecnej sytuacji?

Gabe zawahał się, ale wiedział, że stary Delaney nie pozwoli mu na żadne uniki.

- Zdajesz sobie sprawę, że dobił ją twój zamiar sprzedaży Windaroo?

- Taak, wiem - westchnął głośno Michael. - Ale chyba mnie rozumiesz? Nie umrę spokojnie, zrzucając ten cały bałagan na jej barki. Windaroo jest zadłużone, podupada od lat.

- No cóż... Ona zamierza cię przechytrzyć. Znalazła sposób, by tu zostać.

Michael wcale nie wyglądał na zaskoczonego.

- Tak? - powiedział wolno, a w oczach zamigotały mu iskierki. - Powiedziała ci, co ma na myśli?

Gabe potrafił być dyskretny, ale Piper mówiła o swych planach całkiem otwarcie. Poza tym wolał, by Michael wiedział, co się święci i przyjrzał się kolejce zalotników.

- Ma zamiar wyjść za mąż.

Michael radośnie klepnął go w udo.

- Świetnie! Powiedziała ci to w nocy? - spytał, puszczając oko.

Gabe przytaknął, wcale nie dzielając entuzjazmu Michaela.

- No i co? Co zdecydowałeś? - dopytywał niecierpliwie Michael.

- Co ja zdecydowałem?!

- Dobrze słyszysz.

- Spokojnie, stary. To nie ma ze mną nic wspólnego.

- Ha!

Michael oklapł, wyraźnie rozczarowany. Gabe pochylił się ku niemu i lekko potrząsnął za ramię.

- Ty romantyczny wariacie, chyba nie sądziłeś, że się jej oświadczę?!

- Różne rzeczy się zdarzają - rzucił ponuro Michael.

- Przecież wiem, co do niej czujesz.

Te słowa poraziły Gabe' a. Co to miało znaczyć? Michael żył złudzeniami, fantazjował. Jak mógł wiedzieć coś, czego sam Gabe nie wiedział?

Piper była dziewczyną z sąsiedztwa. Wyjątkową, to fakt: tętniącą życiem, pełną werwy i oddania. Zawsze podziwiał jej ujmującą naturalność i ducha przygody. Łączyła ich silna więź, czuł się za nią odpowiedzialny. Ale coś ponad to?

Ścisnęło go w dołku.

Nie ma mowy. To dzisiejsze zdarzenie nie miało znaczenia. Było tylko niepotrzebnym wybrykiem. Niczym więcej.

Michael przyglądał się mu z napiętą uwagą, jak podświadny oczekujący na wyrok. Czego się spodziewał? Gabe był sporo starszy od Piper, a teraz czuł się jak Matuzalem. Na domiar złego był inwalidą. Inwalidą o niepewnej przeszłości. Nawet, gdyby chciał (a wcale nie miał takiego przekonania) związać się z dziewczyną tak żywą, jak Piper, powinien dobrze się nad tym zastanowić.

- Piper myśli o kimś młodszym i bardziej odpowiednim.

Michael patrzył na niego z niedowierzaniem. Dopiero po długiej chwili jakby pogodził się z tą informacją.

- Kto to jest? - spytał z konspiracyjnym uśmiechem.

- Możemy go znaleźć i szybko załatwić sprawę.

Gabe roześmiał się.

- Chwilowo chyba jeszcze nie ma konkretnych kandydatów.

- Aha!

Michael rozparł się w krzesło, rozluźniony, splótł dłonie i z uśmiechem patrzył w dal.

- Ale ona zamierza rozpocząć polowanie na męża - dodał Gabe ostrzegawczo.

- Niech poluje - padła zaskakująca odpowiedź.

Gabe zmarszczył brwi.

- Chcę ci powiedzieć, że Piper szuka męża tylko po to, byś nie sprzedał Windaroo.

- I ma rację. Nie musiałbym sprzedawać, gdyby znalazła właściwego mężczyznę.

- A więc jesteś zadowolony, że wystawia siebie na rynku matrymonialnym?

- Nie sądzisz, że to dobry pomysł? - spytał Michael, a w jego oczach zamigotały chytre iskierki.

Gabe poczuł się niewyraźnie pod spojrzeniem bladoniebieskich oczu.

- Nie wiem, co dla niej najlepsze. Nie jestem jej dziadkiem - rzekł, odwracając twarz.

Michael nachylił się i szturchnął go w ramię. Kiedy Gabe spojrział na niego, ten mrugnął porozumiewawczo.

- Sądzę, że można jej pozwolić rozejrzeć się dookoła i rozeznaczyć sytuację. Na razie jest zagubiona. Będziesz miał na nią oko, prawda, chłopcze?

- Chyba nie oczekujesz, że będę wtykał nos w cudze sprawy?

Michael bezradnie wzruszył ramionami.

- Ona jest jak dziecko zbłąkane w lesie pełnym wilków.
- Nie powinienem ograniczać jej swobody.  
Ale Michael miał asa w rękawie.
- Nie spełnisz prośby starego, umierającego człowieka?  
Gabe nie przypuszczał, że Michael Delaney jest tak utalentowanym żebrakiem.
- Przyrzeknij mi to jedno, dobrze, chłopcze?  
Gabe westchnął.
- Nie wiem, jak długo zostanę w Mullinjim. Ale dobrze, umowa stoi - rzekł, podrywając się na nogi.
- Ładnie pachnie. Chyba śniadanie już gotowe - stwierdził Michael.  
Ale Gabe stracił apetyt.
- Muszę wracać do domu - powiedział. - Obiecałem pomóc Jonno w gospodarstwie.

Piper, niosąc grzanki i masło do kuchennego stołu, spostrzegła swe odbicie w zmatowiałym lustrze obok wieszaka na kapelusze. Zdziwiła ją własna twarz w aureoli rozwichrzonych włosów. Odstawiła talerz i podeszła bliżej do lustra. Wyglądała całkiem inaczej niż zwykle. Na chwilę opuściło ją uczucie zażenowania po głupawych wyczynach minionej nocy. Przypomniała sobie dłonie Gabe'a, łagodnie pieszczące jej twarz i rozczesujące włosy.

Przypływ krwi zabarwił jej policzki i szyję. Zaróżowiona twarz była oświetlona radosnym blaskiem, jak podretuszowane komputerowo zdjęcia dziewczyn w kolorowych magazynach.

Idiotka!

Nie miała powodu do radosnego, sentymentalnego

samozadowolenia. Jak mogła tak zgłupieć i prosić Gabe'a o pocałunek? Jego, który uwodził i całował miliony seksownych kobiet?!

Odsunęła się od lustra. Ta noc jedynie potwierdziła to, co Piper wiedziała już wcześniej: czeka ją długa droga, zanim opanuje niuanse sztuki uwodzenia mężczyzn.

Pospieszyła do łazienki i długo szczotkowała włosy, po czym spięła je ciasno.

Jednej rzeczy była pewna: kiedy następnym razem będzie próbowała flirtować, Gabe Rivers nie może kręcić się w pobliżu.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

- To nie ja! Ja nie jestem taka wykwinna! Czuję się dziwnie.

Piper stała przed dużym lustrem w sypialni dziadka. To, co w nim widziała, przechodziło jej wszelkie wyobrażenia o sobie.

- Kochanie, wyglądasz fantastycznie - zapewnił ją stojący w drzwiach Michael, uśmiechając się szeroko. - Jak mała księżniczka.

- Nie uważasz, że to duża przesada? Pokazuję tyle gołego ciała.

- Bzdura. Zresztą masz piękną skórę, powinnaś ją pokazywać. Powalisz ich dzisiaj.

Obróciła się, by spojrzeć na sukienkę pod innym kątem. Już było za późno, by się wycofać - trzeba wziąć byka za rogi. Wybierała się do Mullinjim na wiosenny bal, by rozpocząć polowanie na męża. Poważne przedsięwzięcie.

Potrzebując pilnej pomocy w sprawach makijażu, fryzury i stroju, odwołała się do rad fachowej wizażystki. Musiała się tyle nauczyć!

April, konsultantka, nie miała wątpliwości.

- Biel - orzekła. - Styl czarnego wampa odszedł wraz z minionym stuleciem. Zdecydowanie powinnaś zało-

żyć coś białego. Nie każda może sobie na to pozwolić, ale przy twojej doskonałej, świeżej cerze efekt będzie doskonały.

Piper przemknęło przez myśl, że wszyscy skojarzą to z dziewictwem, ale nic nie powiedziała.

- Jesteś szczupła i zgrabna, więc najlepsza będzie dopasowana sukienka, mocno wycięta z przodu i na plecach, by pokazać twoją figurę i piękną jasną karnację - entuzjastkowała się April. - I cieniutkie ramiączka, by nie przesłaniać linii twoich ramion.

- A co z tym? - Piper z grymasem wskazała swój skromny biust.

- Poczekaj, aż zobaczysz sukienkę, o której myślę. Znakomicie podkreśli twoje wszystkie krągłości - zapewniła ją April. - Powinnaś być zadowolona, że masz jędrne piersi. Wiele kobiet ma z tym problem - dodała, puszczając oko.

Wybrana w modnym butikiu sukienka dotarła na miejsce i tego popołudnia mogły się skupić na szczegółach fryzury i makijażu.

- Podkreślimy oczy cieniem. Wieczorem to pomoże wydobyć ich błękit. I przyklejmy sztuczne rzęsy.

- Och, nie! - Piper uznała to za przesadę. - Nie powinienam nosić sztucznych rzęs.

- Spokojnie, skarbie. Zobaczysz, jak ja to genialnie robię: przycinam je i przyklejam tylko na zewnątrz. Będziesz wyglądała bardziej seksownie, ale nie wulgarnie, przyrzekam.

Piper odsunęła wątpliwości na bok i odważnie poddała się zabiegom swej fachowej konsultantki. Widząc efekt,



musiała przyznać, że April w istocie była geniuszem. Kosztownym geniuszem - ale za to potrafiła, niczym dobra wróżka, przemienić chłopczycę w księżniczkę.

Wspaniała jedwabna sukienka podkreślała kusząco figurę Piper, zadziwiając ją samą. Zamierzała, idąc za sugestią Gabe'a, rozpuścić włosy, ale April upięła je w elegancki węzeł.

- Musisz odsłonić szyję i ramiona - orzekła.

Twarz Piper była zadziwiająco odmieniona. Wbrew jej obawom, April dokonała dzieła, stosując jedynie subtelne środki.

Piper obróciła się i napotkała czułe spojrzenie dziadka.

- Chciałbym dodać tylko jeden drobiazg, by dopełnić ten doskonały obraz - powiedział, trzymając ręce za plecami.

- Co takiego?

Z uśmiechem małego urwisa bardzo powoli wyciągnął dłoń i otworzył.

- One należały do Belli.

Serce Piper zabiło mocniej. Dziadek, poza zdjęciami, nigdy nie pokazał jej niczego, co miało związek z jej matką. Teraz w jego spracowanej dłoni ujrzała eleganckie kolczyki, łożki pereł otoczone drobnymi brylancikami.

- Och, dziadku, są cudowne!

Zarzuciła mu ręce na szyję. Nie rozpłakała się jedynie z obawy o makijaż.

- Dziękuję ci - szepnęła. - Nie wiedziałam, że mama miała coś tak pięknego. Ona chyba nie była taką nieokrzesaną chłopczycą jak ja.

- Była, a jakże! - odrzekł Michael, uśmiechając się do

wspomnień. - Do dnia, kiedy pojawił się w dolinie Peter O'Malley. Straciła dla niego głowę. Nagłe zrobiło się zamieszanie, kupowanie sukienek, zmiana fryzury, trudno było ją rozpoznać. Z dnia na dzień spalona słońcem wiejska dziewczyna przemieniła się w księżniczkę.

Myśląc o zakochanych w sobie rodzicach, Piper poczuła ukłucie w sercu. Spojrzała w lustro.

- Tak, kochanie, ty, tak jak ona, nagle wydorostałaś i rozkwitłaś. Wiedziałem, że pewnego dnia zaczniesz podbijać męskie serca. Masz takie słodkie, błękitne oczy, jak Bella, i piękny, dumny profil, jak moja Mary... I złociste włosy po twoim ojcu.

Zakołysał dłońmi i brylanciki roziskrzyły się w świetle.

- Peter dał je Belli w dniu ich ślubu. Pobrali się tu, w Windaroo, pod drzewem dzakarandy obok ganku. To był najwspanialszy ślub, jaki można sobie wyobrazić.

- Och, dziadku, bo się rozpłaczę!

- Wybacz staremu te wspominki. Rozrzewniłem się. To dlatego, że jesteś taka śliczna.

Wręczył jej kolczyki i dodał z uśmiechem:

- Mam nadzieję, że niebawem doczekam następnego wesela w Windaroo.

- Powoli, staruszkule - rzuciła z ostrzegawczym spojrzeniem.

Zachichotał i pociągając nosem, zmienił temat:

- Hej, to niezła przynęta na mężczyzn!

- Przynęta?

- Te perfumy.

- Myślisz, że są odpowiednie? - zapytała, zakładając kolczyki.

- Pachnie lepiej niż chleb prosto z pieca. Kolczyki były doskonałym, eleganckim dopełnieniem całości.

- No i jak? - spytała, obracając się ku niemu.

Oczy starego załśniły z zachwytu.

- Podbijesz dziś cały batalion męskich serc, maleńka.

Podał jej ramię i oboje wyszli na werandę. Siedział tam stary Roy, który miał dotrzymywać Michaelowi towarzystwa tej nocy.

- A niech mnie! - krzyknął, zrywając się z krzesła.

- Co myślisz o naszej księżniczce? - spytał Michael z promiennym uśmiechem.

Roy wpatrywał się w Piper, głaszcząc z przejęcia swą łysinę.

- A niech mnie! - powtórzył. - A niech mnie! Piper, o rany, świetnie wyglądasz!

- Dziękuję, Roy - powiedziała, uśmiechając się. Ci dwaj przemili faceci umocnili jej wiarę w siebie.

Dziadek odprowadził ją do pickupa i otworzył drzwiczki samochodu.

- Powinnaś odjechać karetą zaprzęzoną w szóstkę koni, a nie tym starym rżęchem - rzekł, klepnawszy rozklekotaną karoserię.

Piper przewróciła oczami i siadła za kierownicą, odłożywszy torebkę na siedzenie pasażera.

- W każdym razie powinnaś mieć partnera - kontynuował Michael. - Nie podoba mi się, że jedziesz sama. Za moich czasów bywało inaczej.

- Nic mi nie grozi. A tam wypiję tylko lampkę wina. Nie chcę, żebyś się o mnie zamartwiał przez całą noc - powiedziała z troską.

Przestrogi lekarzy wisiały nad nią jak miecz Damoklesa.

- Nie zamierzam się zamartwiać, ale wolałbym, gdybyś poprosiła Gabe'a, żeby cię zabrał na ten bal.

Piper westchnęła ciężko. Przez ostatnie dwa tygodnie Gabe prawie się nie pojawiał, za to dziadek wspominał o nim zbyt często.

- Doskonale wiesz, że mam zamiar szukać męża. Gabe tylko by mi przeszkadzał.

- Tak uważasz? - spytał Michael markotnie.

- Jestem pewna.

Stary spuścił wzrok i wolno pokręcił głową.

-. Jeśli chodzi o to polowanie na męża... - odezwał się po chwili.

- Tak?

- Piper, wiem, dlaczego to robisz, i czuję się za to odpowiedzialny. Dlatego chcę ci udzielić rady.

- Jakiej? - spytała, a serce zabiło jej mocniej.

- Może jestem romantycznym, starym durniem, ale niezależnie od tego, jak bardzo chcesz wyjść za mąż, powinnaś słuchać swego serca, a nie rozumu.

- Jesteś romantycznym, starym durniem, ale kocham cię i będę pamiętać twoją radę.

Przesłała mu całusa i ruszyła. Patrzyła na niego we wstecznym lusterku. Stał przed domem, uśmiechając się do niej. Pomyślała, że kiedyś go zabraknie i łzy napłynęły jej do oczu.

Próbowała poprawić sobie nastrój, myśląc o czekającej ją ekscytującej nocy. Przemknęło jej przez głowę, że Gabe'a nie będzie na balu i nie zobaczy jej tak wystrojonej. O dziwo, nie była to krzepiąca myśl.

Centrum komunalne w Mullinjim mieściło się w prostym, drewnianym budynku, dziś przystrojonym palmami w donicach, balonami i serpentynami. W końcu sali na małej estradzie tłoczył się czteroosobowy zespół. W części kuchennej, gdzie zazwyczaj Stowarzyszenie Kobiet serwowało herbatę i ciasteczka, komitet organizacyjny urządził prowizoryczny bar.

Goście, co typowe dla mieszkańców australijskiego interioru, nie zwracali uwagi na niewyszukane otoczenie, za to byli ubrani tak uroczyście, jakby odwiedzali operę w Sydney. Panowie nosili eleganckie czarne garnitury, a długie, wieczorowe suknie pań mieniły się wszystkimi kolorami tęczy.

Piper skierowała się prosto w kierunku baru, okupowanego przez chłopaków z okolicznych farm. Znała ich od dziecka i zwykle bawiła się w ich towarzystwie, przynajmniej do czasu, aż zawróciła im w głowie jakaś dziewczyna.

Gdy była na środku sali, dały znać o sobie nerwy. Nagle do niej dotarło, jak trudne zadanie wyznaczyła sobie tego wieczora. Miała ochotę odwrócić się na pięcie i zniknąć w mroku nocy.

Czułaby się znacznie swobodniej w kowbojskim barze niż w otoczeniu tych wszystkich ludzi w wieczorowych strojach. Czemu nie oglądała więcej romantycznych filmów zamiast niezliczonych westernów? Może był tu gdzieś materiał na męża, ale wpierw musiała przekonać potencjalnych kandydatów, że ona - ta chłopczyca - nadaje się na żonę.

O rany! Ugięły się pod nią kolana. Opanuj się i zacznij

flirtować! Jak to mówił Gabe? Flirt najlepiej karmi się pochlebstwem.

OK.

Spociły się jej dłonie. Ukradkiem przeciągnęła nimi po sukni, mając nadzieję, że nie zostawi śladów na jedwabiu. To jak kąpiel w lodowatym strumieniu: trzeba się zdecydować na skok.

Naprzód, Piper!

Wzięła głęboki oddech i podeszła do baru.

- Cześć, chłopaki - powiedziała. - Wyglądacie bardzo elegancko.

Kilka głów obróciło się w jej stronę. Twarze zastygły w szoku. Opadły szczęki. Oczy wyszły z orbit.

Jock Fleming z Jupiter Downs rozlał piwo.

- O cholera! - odezwał się w końcu Steve Flaxton.  
- To ty, Piper?

- Jasne, że ja! - rzuciła w panice. - O co chodzi? Co się tak gapiacie?

Co się dzieje?! Rozpięty suwak? Odklejone rzęsy? Bo przecież ze stanikiem sukni nic się chyba nie stało?!

- Coś z włosami?! - wykrzyknęła, nerwowo rozglądając się za lustrem. - Co jest nie tak?

Pierwszy oprzytomniał Jonno Rivers, brat Gabe'a.

- Nie gniewaj się, Piper. Po prostu nigdy cię takiej nie widzieliśmy.

- I co z tego?!

Nie przestawali się gapić na nią w najwyższym oszomieniu.

Panika ustąpiła miejsca gniewnemu rozczarowaniu. Gdzie są pełne podziwu uśmiechy? Szarmanckie gesty?

A ona ma stracić głowę dla któregoś z tych bubków!  
Znaleźć wśród nich romantycznego partnera!

Czy któryś z nich nie mógłby chociaż zaproponować jej drinka?

- Co się z wami dzieje? Nie umiecie zachować się w towarzystwie kobiety?

Z tyłu dobiegły dźwięki żywej muzyki, goście ruszali w kierunku parkietu. Jock, Steve, Jonno i inni patrzyli nerwowo po sobie.

- Odkąd Piper ma cycki? - wymruczał ktoś z prawej strony. - Gdzie ona je chowała?

Obróciła się w kierunku głosu, lecz zanim znalazła właściwe słowa, by skarcić chama, wszyscy spojrzeli w kierunku wejścia. Zwróciwszy oczy w tamtą stronę, spostrzegła wysoką, ciemną i władczą sylwetkę.

Gabe.

Ratunku!

Stał w drugim końcu sali. Miała wrażenie, że obserwuje scenę przy barze. Boże! Poczowała się słabo. Wścibski Gabe!

Że też właśnie on musiał być świadkiem jej upokorzenia! Miało go tu nie być! Jak mogła się rozluźnić i zacząć flirtować pod czujnym okiem swojego nauczyciela?

Musiała przyznać, że nikt na sali nie wyglądał w smokingu tak wspaniale jak on. Diabło przystojny, roztaczał aurę spokojnej siły i autorytetu. Gdy kroczył przez salę z przymrużonymi oczyma, szeroki w barach, niemal wszyscy oglądali się za nim. Piper rozumiała, dlaczego: wyglądał w każdym calu jak... bohater.

Bo przecież był bohaterem!

Przed wypadkiem nieraz zaglądał śmierci w oczy, ra-

tując innych: żeglarzy tonących wśród szalejącego cyklonu, całe rodziny osaczone przez pożar buszu, czy też uchodźców ściganych przez uzbrojonych w maczety przesładowców w Timorze.

Pocieszała się myślą, że ktoś, kto dokonał tego wszystkiego, nie będzie wydziwiał jak głupawy wieśniak tylko dlatego, że założyła sukienkę i upięła włosy w wymyślny węzeł. A jednak, kiedy się zbliżał, fala ciepła objęła jej szyję i policzki. Co on pomyśli o jej wyglądzie?

Jedno było pewne: pierwszym spojrzeniem oceni tych głupków dookoła, pojmie sytuację i - jak prawdziwy bohater - wybawi damę z kłopotu.

Mógłby ją poprosić do tańca.

Ale myśl o tańcu z Gabe'em wcale nie uspokoiła jej skołatanych nerwów. Być w jego ramionach, tak blisko.... Pewnie powróciłoby zakłopotanie tamtej nocy, gdy go poprosiła o pocałunek... Może być nawet gorzej, jeśli znów poczuje to, co wtedy. Jakby rozniecał ogień grożący jej eksplozją.

Czy potrafi stawić temu czoło?

Musi. Potrzebuje, by ją uwolnił od tej bandy prostaków.

Zbliżał się. Kiedy objął ją uważnym spojrzeniem, poczuła ciepłe mrowienie pod skórą, a jej oddech przyspieszył. Jego pałające oczy obiegały badawczo całą jej sylwetkę - włosy... szyję... ramiona... dopasowaną sukienkę...

Co sobie myślał?

Ich oczy spotkały się. Jego spojrzenie było poważne, trochę smutne i jakby zagubione.

Zmusiła się do nikłego uśmiechu. Przelotny grymas na jego twarzy uśmiechem raczej nie był.



Nie patrz tak na mnie, Gabe. Musisz mnie wybawić.

Podszedł bliżej i skinął głową.

- Dobry wieczór, Piper - powiedział tylko tyle i odwrócił wzrok.

Gabe, nie możesz mnie zostawić w potrzebie!

Ale on już rozglądał się wśród zgromadzonych przy barze mężczyzn.

- Steve - powiedział - co z twoimi manierami?

- O co ci chodzi? - zdziwił się Steve Flaston.

- Poproś panią do tańca.

Dookoła zapadła cisza. Steve i Piper, zaskoczeni, patrzyli na Gabe'a. Piper poczuła drżenie. To był jakiś absurd! Jak Gabe, który nigdy jej nie zawiódł, mógł okazać się tak nieważliwy?! I to właśnie teraz, kiedy potrzebowała jego pomocy?

Stał sztywno, nie pozostawiając wątpliwości, że nie przywykł, by lekceważono jego sugestie.

Wieki minęły, zanim Steve odstawił szklanekę i niezdarnie uśmiechnął się do Piper.

- Co ty na to? - spytał, skinąwszy głową w stronę parkietu.

Taniec na oczach tego całego tłumu był ostatnią rzeczą, której teraz pragnęła. Nogi miała jak z waty, a wysokie obcasy nie ułatwiały sprawy. Ale, do diabła, nie mogła pokazać Gabe'owi, że ją wyprowadził z równowagi!

- Chętnie, Steve - odpowiedziała z wymuszonym uśmiechem i położyła torebkę na barze obok Jonno. Ruszyła na parkiet, nie spojrzawszy na Gabe'a.

Bohater?! Też coś!

Steve nie był najlepszym tancerzem, trzykrotnie nade-

pnął jej na nogę, ale jakoś sobie radzili, naśladowując sąsiednie pary.

- Sporo ludzi, co? - nawiązał wreszcie konwersację.
- To fantastyczne, wszyscy się zjechali.
- Gdzie się nauczyłaś tańczyć?
- W szkole.

Po kilku kolejnych obrotach Piper nie wytrzymała:

- Steve, powiedz szczerze, nie myślisz, że trochę przesadziłam? - spytała.

- Jasne, że nie - powiedział, gapiąc się prosto w jej dekolt. - Wyglądasz niesamowicie.

- To co się stało chłopakom? Dlaczego zachowują się tak, jakbym była trędowata?

- Po prostu pierwszy raz widzimy cię taką.
- Taką... kobiecą?

- Właśnie - potwierdził, nie odrywając wzroku od jej gorsu. - Zatkąło nas. Wyglądasz świetnie, szczerze. Chociaż bardzo dobrze.

- Cóż, dzięki. Nie wiedziałam tylko, że jak założę sukienkę, faceci zaczną przemawiać do mojego dekoltu.

Steve poczerwieniał. Piper czuła się okropnie. Cóż to za pomysł - szukać męża wśród tej hałastry! Niestety, żaden z tych wieśniaków nie zmienił się w księcia z bajki, choć ona włożyła tyle wysiłku w to, by z kopcieszka stać się księżniczką.

Znała ich od dziecka, ale żaden nigdy jej nie pociągał. Jako nastolatka oganiała się przed ich niezdarnymi próbami pocałunków, teraz też nie była zainteresowana.

Rozejrzała się po sali ponad ramieniem Steve'a. Myśl, że ma tu spędzić resztę nocy, wcale nie była miła. To

będzie powolna tortura. Nie miała żadnej zaufanej przyjaciółki. Znajome dziewczyny wcześniej wychodziły za mąż i znikwały z jej horyzontu. Niewiele знаła młodych, samotnych kobiet - większość z nich przyjechała z miasta, by odrobić w Mullinjim i okolicy staż nauczycielski czy pielęgniarski. Wiedziały wszystko o modzie i makijażu, z pewnością nie potrzebowały konsultacji, by szykownie wyglądać. I każda z nich miała u boku partnera.

Była więc skazana na swoje zwykłe towarzystwo - tych facetów okupujących bar. Kompletna beznadzieja.

Pozostawał Gabe.

On właśnie spowodował, że czuła się żałośnie zagubiona. Po wydaniu polecenia Steve'owi odszedł od baru i wdał się w ożywioną rozmowę z dyrektorem szpitala i jego żoną.

Straciła nadzieję, że zbliży się choć o milimetr do swojego celu.

Kiedy zespół przestał grać, miała wrażenie, że Steve poczuł taką samą ulgę, jak ona.

- Dzięki. Fajnie było - powiedziała.

Steve już miał się zmyć, kiedy przypomniał sobie o dobrych manierach.

- Napijesz się?

To znaczyło powrót do baru i tuzin oczu wlepionych w jej biust.

- Nie, dziękuję, ale ty wracaj do chłopaków. Gdybyś mógł tylko przynieść mi torebkę, chcę wyjść na powietrze.

Odzyskawszy torebkę, Piper wymknęła się z sali, by się zanurzyć w mroku. Miała ochotę sięść na drewnianej ław-

ce, ale bała się pognieść sukienkę. Stała z rękoma założonymi do tyłu i wdychała głęboko orzeźwiające powietrze - czyste, wiejskie powietrze o lekkim aromacie glicynii.

Nie chciała wracać na salę. Od hałasu, światła i dużego stresu rozboleła ją głowa. Nie powinna jednak jechać tak wcześniej do domu, by nie martwić dziadka swą nieudaną wyprawą. Pomyślała, że może odwiedzić Nellie Davies, przyjaciółkę dziadka, mieszkającą w domku obok poczty. To był dobry pomysł, zrzucić te cholerne pantofle i usiąść z Nellie przy herbacie. **Może** nawet zwierzyć się jej ze swych kłopotów?

Stąpając ostrożnie na wysokich obcasach, szła przez wysypyany żwirem parking w kierunku samochodu.

Gabe kątem oka wychwytał szczupłą, białą sylwetkę wymykającą się z sali.

- Bardzo przepraszam - powiedział do doktora Springera i jego żony. - Znajo...my właśnie wychodzi, muszę z nim porozmawiać.

Jim Springer spojrział w kierunku wyjścia i roześmiał się gardłowo.

- Nie zatrzymujemy cię, stary. Ona, to znaczy on, chyba trochę się spieszy.

Gabe bez trudu dostrzegł białą sukienkę i pospieszył za Piper. Była na środku parkingu, kiedy krzyknął za nią. Odwróciła się, a on poczuł się głupio. Po cóż, u diabła, uganiana się za nią?

- Dokąd się wybierasz? - spytał.

- Nie twoja sprawa - ucięła krótko, dalej idąc w kierunku samochodu.

Miała rację, ale podbiegł i chwycił ją za łokieć. Znie-  
ruchomiała, a ich oczy się spotkały. W jej wzroku były  
gniew i wyzwanie.

Jednocześnie jednak wyglądała ślicznie. Na szczęście  
nie usłuchała jego rady w sprawie fryzury; włosy, upięte  
w czarujący węzeł, odsłaniały doskonałą, delikatną linię  
jej szyi i ramion. Pociągnięte kredką usta podkreślały na-  
gle rozkwitłą kobiecość.

- Gabe, puść mnie.

- Chyba nie uciekasz? - spytał, przypomniawszy so-  
bie, dlaczego ją zatrzymał.

- A jeżeli?

- Ale... Przecież dopiero przyjechałaś, bal jeszcze się  
nie rozkręcił na dobre. Nie upolujesz męża na parkingu.

Wyswobodziła łokieć.

- Nie zamierzam tu szukać męża. To strata czasu.

- Skąd ten wniosek?

- Oni wszyscy traktują mnie tak, jakbym była facetem,  
który nagle zmienił płeć.

Nie mógł powstrzymać chichotu, ale Piper wcale nie  
było do śmiechu.

- Śmieję się, śmieję. Ty też nieźle mi załazłeś za skórę.  
Jak sądzisz, jak się czułam, kiedy zacząłeś wydawać po-  
lecenia, by ktoś ze mną zatańczył? Nie jesteś w wojsku,  
a ja nie jestem twoją podwładną.

- Przesadzasz, Piper. Ktoś musiał obudzić tych głup-  
ców. Posłuchaj, nie możesz uciekać.

- Nie mogę? Kolejny rozkaz?

- Jasne, że nie, ale nie powinnaś tego wszystkiego  
zaprzepaścić - powiedział, spontanicznie przesuważąc

dłoń po jej jedwabnej sukience, od talii do biodra. - Wyglądasz pięknie.

- Pięknie? - powtórzyła zdławionym głosem. Bardzo chciała mu wierzyć.

Gabe chwycił jej ramiona. Tym razem nie protestowała.

- Naprawdę, Piper. Tak niewiarygodnie pięknie, że wszystkich zatkało.

- Nic z tego nie wynika - podsumowała z goryczą.

- Daj tym facetom trochę czasu. Wyjdą z szoku i będą się bić o to, by odwieźć cię do domu.

- Problem polega na tym, że ja wcale nie chcę, żeby się o mnie bili.

Gabe był bardzo zaskoczony, ale też, o dziwo, jakby zadowolony.

- Tyle wysiłku, tyle zabiegów, a teraz nie chcesz dać im szansy? - spytał jednak.

- Mam dwadzieścia trzy lata, znają mnie od dziecka. Ile jeszcze szans mam im dawać?

Gabe puścił jej dłoń. Przez długą chwilę patrzyli na siebie, milcząc.

- Dostałam dziś dobrą lekcję - powiedziała w końcu Piper.

- Jaką?

Ściągnęła usta, jakby chciała to zatrzymać dla siebie. Gabe nie rozumiał, dlaczego czekał na jej odpowiedź w takim napięciu.

Spuściła głowę i zaczęła bawić się zapięciem torebki.

- Nie znajdę tu w okolicy męża. Muszę poszukać gdzie indziej.

Znów zapadła cisza.

- A więc chcesz wyjechać do miasta? - przerwał milczenie Gabe.

- W jaki sposób? Nie mogę zostawić dziadka. Muszę po prostu...

Nie skończyła - ich uwagę zwrócił nadjeżdżający samochód, który zatrzymał się obok nich.

- Cześć, Gabe - pozdrowił go sąsiad, Joe Hutchins.

Joe skinął głową Piper, nie rozpoznając jej początkowo. Przyjrzał się jednak dziewczynie uważniej.

- To ty, Piper? - spytał.

- Cześć, Joe.

- O rany, nie poznałem cię. Słuchaj, nie chcę wzniesić paniki, ale widziałem ciężarówkę do przewozu bydła z motocyklami na skrzyni. Skręcili w kierunku Sandy Creek, jakby wybierali się do Windaroo.

- O Boże! To znowu ci złodzieje - krzyknęła i spojrzała w niebo. - Ale czemu właśnie dziś? Jest nów, niewiele przecież widać.

- Skurczybyki nieźle to wykombinowali. Większość ludzi jest tutaj i zdiera obcasy na parkiecie.

- Łącznie z policjantami - zauważył Gabe. - Dzięki, Joe. Pójdę z nimi pogadać, ale nie wiem, czy zechcą się ruszyć, nie mamy żadnych dowodów.

Joe odjechał, a Gabe pospieszył w kierunku budynku. Piper uniosła spódnicę sukni i pobiegła do samochodu. Musiała się spieszyć. Gabe miał rację: policjanci nie będą zadowoleni, że ktoś chce im przerwać zabawę. Większość mężczyzn była już po kilku piwach i nie byłoby z nich wielkiego pożytku. Gdyby poprosiła o pomoc, z pewnością znalazłaby ochotników, ale nie było sensu śledzić

złodziei z zataczającymi się, czyniącymi zbyt wiele hałasu facetami. Musi pojechać do Sandy Creek sama.

Bez wątpienia te łajdaki wybierały się do Windaroo, licząc na to, że stary, schorowany człowiek i dziewczyna nie zdołają im przeszkodzić. Przeliczą się!

Jej suknia nie była odpowiednim strojem do uganiania się po buszu, ale Piper zawsze wozila ze sobą zapasowe ubranie robocze. Nie chciała wracać do budynku, by się przebrać w toalecie, miała już serdecznie dość zwracania na siebie powszechnej uwagi. Nie, przeberze się za pick-upem, zanim wróci Gabe.

Cisnęła do samochodu pantofle, podciągnęła wyżej sukienkę i zrolowała cieniutkie, jedwabne pończochy. W ślad za nimi powędrował do szoferki pas.

Przykucnęła w cieniu, rozpięła zamek i zsunęła z siebie wąską suknię. Szkoda było tak szybko rozstawać się z całym tym luksusem, ale nie czas żałować balowych toalet, gdy człowiekowi kradną krowy.

Gdzie te dzinsy?

Na tyle auta walały się kłęby lin i drutu, narzędzia i części zapasowe. Gdzieś tam powinno być też ubranie, ale trudno było je znaleźć po ciemku: wszystko się wymieszało na wyboistych polnych drogach.

Wreszcie jej palce wyczuły bawełnianą tkaninę. Wywlekła spodnie i usiłowała je wciągnąć, ale spiesząc się, pomyliła po ciemku nogawki. Nie miała wyboru, wysunęła się z cienia i podeszła bliżej latarni.

- Co ty wyprawiasz?!

Głos Gabe'a dobiegał z mroku.



## ROZDZIAŁ PIĄTY

- A co ty wyprawiasz?!

Piper odwróciła się tyłem i nerwowo wciągała spodnie. Dlaczego nie usłyszała kroków Gabe'a?

- Ja pytałem pierwszy.

Stał przy samochodzie. Światło latarni ukazywało iskierki rozbawienia w jego oczach i błędzący w kącikach ust uśmiech. Opierał się niedbale o tylną klapę.

- Odwróć się — syknęła i desperackim szarpnięciem podciągnęła spodnie. - Gdzie twoje maniery?

- Niczego nie widziałem - oświadczył przeciągle, odwracając się powoli. Zbyt wolno. - No... Prawie niczego.

Świnia!

Z bijącym sercem i palącymi policzkami rzuciła się do skrzyni pickupa po koszulę.

- Nie masz się czym przejmować - Gabe przemawiał irytującym, wolnym głosem ponad jej ramieniem. - W końcu masz na sobie najlepszą bieliznę.

- Odczep się!

Co za łotr! To ma być dżentelmen! Nie miała ochoty wysłuchiwać uwag na temat swojej bielizny. Tej piekielnie drogiej, markowej bielizny. Do diabła! Skapy staniczek

i prawie niewidoczne majteczki, kupione pod naciskiem April, niewiele pozostawiały wyobraźni.

Gdzie jest ta cholerna koszula?! Energicznie grzebała między zwojami liny. Była wściekła, że nie wyszukała wszystkiego, zanim się rozebrała.

Po kilku minutach poddała się.

- Gabe, mógłbyś sprawdzić, czy z tamtej strony nie ma mojej koszuli? - poprosiła cienkim, żalnym głosem. Miała ochotę zapaść się ze wstydu pod ziemię.

- Do usług, proszę pani.

Odwrocił ku niej uśmiechniętą twarz. Jak śmiał bawić się jej kosztem! Nienawidziła go!

- Tego szukasz?

Wymachiwał nad głową koszulą w biało-niebieską szachownicę.

- Rzuć mi ją!

- Chodź i weź sama - drażnił się z nią.

- Nie mam czasu na zabawy - warknęła, zasłaniając rękoma piersi.

- Ponuraczka - rzekł i z teatralnym westchnieniem cisnął jej koszulę. Złapała ją i wciągnęła tak energicznie, że aż trzasnął szew.

Wskoczyła do samochodu, ale zanim zatrzasnęła drzwi, Gabe stał przy niej.

- Zapomniałaś o czymś.

Trzymał w ręku jej długie buty.

- Dzięki - mruknęła.

- Może wreszcie mi powiesz, co ty właściwie robisz?

- spytał, przytrzymując drzwi auta.

- To chyba jasne? Jadę do Sandy Creek.

- Nie sama. Jadę z tobą.
- Nie... - próbowała zaprotestować, ale on nie słuchał. Zanim wciągnęła buty, już otwierał drzwi od strony pasażera.

Na siedzeniu leżała suknia.

- Nie pognieć tego! - krzyknęła.
- Oczywiście.

Ostrożnie podniósł sukienkę, po czym ujął w dwa palce pas do pończoch.

- Dawaj to!

Upchnęła pas i pończochy w schowku na rękawiczki.

Gabe wszedł do auta. Widząc na jego kolanach swą białą, jedwabną suknię, Piper zadrżała i dostała gęsiej skórki. Sukienka wyglądała bardzo kobieco na tle jego czarnych, eleganckich spodni.

Stroje młodej pary.

Jejku! Co się z nią dzieje? Ten epizod w bieliźnie całym wytrącił ją z równowagi.

Poczuła złość - do siebie i do Gabe'a. Wszystkie plany na ten wieczór spaliły na panewce.

Drogi ubiór, fryzura, makijaż - wszystko na nic. Kaprałskie maniery Gabe'a na balu, jego wstrętne zachowanie na parkingu... A teraz na domiar złego złodzieje kradną jej bydło!

Mężczyźni! Wszystko przez mężczyzn! Dlaczego miałyby wychodzić za mąż?

Włączyła zapłon. Pickup skoczył do przodu i silnik zgasł. Cholera! Z nerwów zapomniała przestawić dźwignię biegów na luz. Od lat nie zdarzyło jej się zrobić czegoś tak głupiego za kierownicą!

Rzuciła Gabe'owi chmurne spojrzenie w nadziei, że powstrzyma jego komentarz. Nie powstrzymała.

- Nie ma po co tak się spieszyć - powiedział chłodno.
- Oczywiście, że jest po co.

Uruchomiła ponownie silnik i tym razem gładko wyjechała z parkingu.

- Zastanowiłaś się dobrze, co robisz?
- Staram się uchronić swoje bydło przed złodziejami.
- Przy dzisiejszych cenach wołowiny i wysokich wyrokach za kradzież bydła te łobuzy, złapani za rękę, mogą sięgnąć po broń, by nie ryzykować więzienia.

Piper wzruszyła ramionami.

- Powinniśmy się ograniczyć do przyjrzenia się im - ciągnął. - A potem powiadomić policję i pozwolić im działać.

Fuknęła zniecierpliwiona. Łatwo mu przychodziły te pouczenia - sam nigdy się nie angażował w hodowlany biznes. A ona zajmowała się tym od wielu lat, i to jej bydło było teraz zagrożone.

- Chcę ich przyłapać na gorącym uczynku - rzuciła z determinacją.

- Ale tam może być dwóch czy trzech uzbrojonych facetów.

- Podkradniemy się po cichu.

Spojrzał na nią sceptycznie.

- Jak w hollywoodzkim filmie?
- Czemu nie?
- A potem ty odwrócisz ich uwagę, a ja powalę herszta jednym ciosem?
- No jasne. A kiedy dwaj pozostali spróbują rzucić się

na ciebie, załatwisz jednego, a drugi zacznie uciekać, ale go dopadniesz. A ja będę czekała z boku ze sznurem, by ich związać.

- Ambitny plan, jak na drobną dziewczynkę i faceta z przetrąconą nogą.

Miała ochotę uśmiechnąć się do niego, by potwierdzić, że to tylko żarty, a w gruncie rzeczy ma zamiar zachowywać się rozsądnie, ale uznała, że nie zasłużył na to. Wciąż jeszcze była trochę zła i nie chciała zawieszenia broni.

Gnali wyboistą, pokrytą koleinami drogą.

- Zwolnij, Piper.

- Nie jadę zbyt szybko.

Między drzewami rozbłysły reflektory jadącego z przelicwka pojazdu.

- Spójrz na te światła. To coś dużego, chyba ich ciężarówka.

- Musieliby się nieźle zwijać, żeby załadować bydło i już wracać.

- Na pewno mają duże doświadczenie, mogli szybko przegonić bydło z zagrody.

Piper pochyliła się do przodu i zacisnęła dłonie na kierownicy. Wydeła usta i prychnęła z irytacją.

- Kimkolwiek są, zajmują całą szerokość drogi. Jadę na długich światłach, muszą nas widzieć.

Gabe spojrział na prędkościomierz.

- Wałą prosto na nas. Zwolnij!

- Jeśli wiozą bydło z Windaroo, nie pozwolę im przejechać.

- Nie szalej!

Serce Gabe'a waliło mocno, a na jego czole wykwitły

krople potu. Znowu pojawiła się wizja jego wypadku. Przerazający zgrzyt metalu... Dźwięk tłuczonego szkła... Samochód dosłownie rozpadający się wokół niego... I cisza... Zimny, przerażający cień śmierci...

- Dopadliśmy łajdaków. Nie dam im uciec.

- Zwariowałaś!

Z wysiłkiem odpędzał inną wizję: ich pickup zmiażdżony przez ciężarówkę. Piper w kałuży krwi. Martwa.

- Oni za szybko jadą, ważą kilka razy więcej od nas! - krzyknął. - Zwolnij, zjedź z drogi! Na Boga, Piper, nie warto tak ryzykować!

Zza zakrętu wyskoczyła z rykiem ciężarówka. Cztery reflektory zalały światłem kabinę pickupa. Gabe był oślepiiony. Piper wydała okrzyk ni to przerażenia, ni to frustracji. W następnej sekundzie Gabe złapał kierownicę i skręcił ją gwałtownie w lewo. Pickup przechylił się niebezpiecznie i zjechał z drogi, zmiatając zderzakiem krzaki i niewielkie drzewko. Za nimi przemknęła z hukiem ciężarówka. We wstecznym lusterku mignęły na jej skrzyni niewyraźne, lecz niepozostawiające wątpliwości cienie.

Silnik pickupa zgasł, a z przebitej chłodnicy uderzył w niebo strumień pary.

Wspaniale.

Gabe z zamkniętymi oczami opadł na siedzenie. Serce mu waliło, żołądek się skurczył. Trząśł się cały.

Nie pojmował szalonego zachowania Piper.

Spróbował się opanować.

- Wszystko w porządku? - spytał, nie otwierając oczu. Uderzyła dłońią w kierownicę i jęknęła gniewnie.

- Jak to w porządku? Ci przekleści złodzieje zmyli się z naszym bydłem!

Gabe miał dość wszystkiego. Jej desperacja była wręcz naiwna. Czy on kiedyś też był taki?

Tak, wieki temu - gdy był żołnierzem. Wówczas zawsze pragnął wykazywać się odwagą i poświęceniem. Przez lata odczuwał dreszcz emocji w obliczu niebezpieczeństwa. Dopiero od wypadku z niechęcią myślał o niepotrzebnym ryzyku. Dziś jego poprzednie ja - zdobywcy świata - wydawało się **bardzo** odległe.

Otworzył oczy. Zastanawiał się, czy poradzi sobie z irytacją i wrogiem nastawieniem Piper.

- Oni nie wpadliby na nas - powiedziała. - Zmusiłabym ich do zejścia z drogi. Dlaczego kobieta zawsze musi ustępować?

- To nie ty ustąpiłaś. Ja złapałem za kierownicę - odrzekł z westchnieniem. - Piper, to tylko bydło.

- Tylko bydło? To bydło z Windaroo, własność chorego starca. Każda sztuka warta kilkaset dolarów.

- Co ty wygadujesz! - krzyknął ze złością, odzyskując zwykłą energię. - Żadne krowy, żadne pieniądze nie są warte tyle, by ryzykować życie!

Jego słowa odniosły skutek. Jej ramiona rozluźniły się. Otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale zmieniła zdanie. Siedziała bardzo cicho.

- Pamiętaj, że ja mam za sobą ciężki wypadek - dodał. - Miałem połamane obie ręce, a moja prawa noga funkcjonuje dzięki metalowym częściom zamiennym. Nie chciałbym przechodzić przez to powtórnie.

W jej oczach rozbłyły łzy, jasne jak brylanty jej kolczyków. A niech to - doprowadził ją do płaczu.

Obrócił się i wyrzał przez boczne okienko samochodu. W bladej poświacie księżycy majaczyły młode eukaliptusowe drzewka.

- Och, Gabe - szepnęła dziewczyna, niepewnie dotykając drżącą dłonią jego policzka. - Przepraszam...

Spojrzał na nią ze ściśniętym gardłem. Po jej twarzy spływały wielkie łzy. Cofnęła rękę i przycisnęła ją do ust, jakby chciała powstrzymać szloch.

- Myślałam tylko o sobie. Jak mogłam zapomnieć o twoich przejściach?

- Już dobrze, Piper. Nie płacz, proszę.

Skuliła się żałośnie i skryła twarz w dłoniach. Gabe zapragnął wziąć ją w ramiona i przytulić mocno, ale nie poruszył się. To byłoby istne szaleństwo, zbliżyć się do jej słodkich, miękkich warg i kuszącego ciała, spojrzeć w głąb tych rozczulających, ciepłych, błękitnych oczu.

Spuścił wzrok na trzymaną na kolanach wieczorową suknię, ale to wcale nie pomogło - powrócił obraz Piper walczącej z zaplątanymi wokół kolan džinsami. Obraz jej zgrabnej, jasnej sylwetki.

O Boże! Zwariuję, myśląc o Piper w ten sposób!

Westchnął żałośnie.

- Zdawało mi się, że oboje nie zamierzaliśmy odgrywać dziś bohaterów - rzekł.

- Tak było, ale poniosło mnie. Miałam dość twojego komenderowania - odpowiedziała i przygryzła wargę. - Nie wiem, jak mogłam zapomnieć o twoim wypadku. Przepraszam. To... musiało być straszne.



- Zostawmy ten temat. Zastanówmy się, co robić.

Ale Piper nie zmieniła tematu.

- To dlatego nie poprosiłeś mnie do tańca? - spytała, bawiąc się nerwowo kolczykiem. - Z powodu nogi?

Do diabła! Gabe chrząknął, nie znajdując odpowiedzi. W rzeczywistości to widok odmienionej Piper poraził go nieco - zupełnie jak tę bandę chłopaków przy barze.

- Co za pytanie - rzucił szorstko. - Po cóż miałabyś tańczyć ze mną, skoro przyszłaś tam szukać męża?

Odwróciła szybko wzrok.

- No tak... Wygląda na to, że się dziś zachowuję wyjątkowo idiotycznie.

Patrzyli w zakłopotaniu przed siebie.

- Co teraz zrobimy? - spytała w końcu Piper, wskazując strumień pary.

- Trzeba zadzwonić po policję. Cofnę się kawałek, bo tu nie ma zasięgu.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Po prawej jest spora górka - powiedziała. - Mam tu latarkę. Wdrapię się tam i zadzwonię do dziadka, żeby się nie martwił o mnie do rana.

- Dobra myśl. Chodźmy.

Nacisnęła klamkę i odwróciła się do niego.

- Ty zostań. Tam może być za stromo dla twojej nogi. Wiem, co powiedzieć policji.

Gabe zeszywniał.

- Potrafię się jeszcze wspiąć na jakiś cholerny pagórek - rzucił przez zaciśnięte zęby i wyskoczył z samochodu.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Piper próbowała się zorientować, gdzie się właściwie znalazła. Za szybą samochodu na tle rozgwieżdżonego nieba majaczyły ciemne sylwetki eukaliptusów. Leżała z policzkiem przytulonym do chłodnego jedwabiu.

Jej sukienka.

Do diabła! Przez cienką tkaninę poczuła silne, męskie uda. Bardzo męskie!

Przeszył ją dreszcz. Jej głowa spoczywała na nogach Gabe'a! Jego ręka spoczywała na jej ramieniu, a kciuk zaplątał się pod kołnierzyk koszuli i dotykał jej gołej skóry.

Nad sobą widziała silną szczękę i szyję mężczyzny. Rozpięta u góry koszula odsłaniała skrawek pokrytej ciemnym owłosieniem piersi.

Zauważył, że Piper nie śpi i spojrzał na nią z taką czułością, że aż jej dech zaparło.

- Obudziłaś się, promyczku - stwierdził łagodnym głosem, nie cofając ręki.

Chciała odpowiedzieć, ale nie mogła wydobyć głosu. Jak długo tak leżała z głową wtuloną w jego uda? Jak to się stało?

Z wolna przypominała sobie długą wspinaczkę, telefonu do dziadka i na policję i przedzieranie się przez krzaki

z powrotem. Potem siedzieli w samochodzie i rozmawiali - o czym? Nie miała pojęcia. Pamiętała tylko, że ziewała ze zmęczenia.

- Długo spałam?
- Jakaś godzinę.

Przesunął wolniutko kciukiem po jej obojczyku. Piper poczuła na skórze mrowienie. W jakiś sposób była pewna, że głaskał ją tak, kiedy była pogrążona we śnie.

- Nie przejmuj się, chrapałaś niezbyt głośno - roześmiał się.

Zażenowanie otrzeźwiło ją. Poderwała się z jego kolan.

- Dlaczego pozwoliłeś mi zasnąć? - spytała lekko poirytowanym głosem.

- Byłaś zmęczona, a ze mnie jest stary nudziarz.
- Ale...

Zamachała bezradnie rękoma, wyobrażając sobie, jak musiało mu być niewygodnie w kąciku siedzenia, ze zgiętymi nogami, służącymi jej za poduszkę.

- Która godzina?
- Po pierwszej.

Nie wyglądał wcale na poruszonego faktem, że spędziła całą godzinę z głową wtuloną w jego uda.

- Policja się nie pojawiła?
- Jeszcze nie.

Umilkli. Piper żałowała, że się obudziła - wydawało się jej, że rozmowa z Gabe'em nigdy nie była tak trudna.

- Co to za tkanina? - spytał, delikatnie przesuając między silnymi, męskimi palcami skraj jej sukni.

- Jedwab - odpowiedziała rzeczowym tonem.

- Tak myślałem. Czuję zapach twoich perfum - rzekł, pochylając głowę i wciągając powietrze. - Przyjemne. Bardzo przyjemne.

Było jej trochę głupio, ale niestety nie potrafiła się powstrzymać.

- A więc zdały egzamin? - palnęła.

- Jaki egzamin? - zdziwił się.

- Test zmysłów. Pamiętasz, mówiłeś, że perfumy powinny subtelnie dopełniać... Kobięcość?

- Aha, ten test.

- Powinny być niezłe, kosztowały osiemdziesiąt dolarów - roześmiała się. - Dziadek mówi, że pachną lepiej niż chleb prosto z pieca.

- Ma rację - zachichotał Gabe. - Nawet lepiej niż świąteczna kolacja. - Uniósł tkaninę ku twarzy. - Nie powinnaś żałować tych pieniędzy. To bardzo kobiecy zapach, jak świeże kwiaty, jak...

Odgłos zbliżającego się samochodu nie pozwolił mu skończyć. Kabinę pickupa rozświetlił blask reflektorów. Piper nie miała pewności, czy jest zadowolona, że wreszcie pojawił się policyjny radiowóz. Podjechał bliżej i zatrzymał się na skraju drogi.

- Cześć, ludkowie - rzucił Norm Harper z wydziału ścigającego złodziei bydła.

Porozumiewawczy uśmiezek na jego twarzy zdernerwował Piper. Zarumieniła się i bezwiednie podniosła rękę ku włosom. Wyszukana fryzura mocno ucierpiała w trakcie przejść tej nocy, zwłaszcza w czasie snu na kolanach Gabe'a! Z każdej strony zwisały rozwichrzone pukle.

Co sobie Norm pomyśli o jej wyglądzie? Sztuczne rzęsy, perły i diamenty w uszach, żałosne resztki koafiu-ry, a do tego powyciągana koszula i wytarte dżinsy! A wszystko okraszone rozpalonymi policzkami!

Odchrząknęła, kryjąc się w ciemności.

- Witaj, Norm. Dzięki, że zechciałeś przyjechać o tak późnej porze.

Norm był trochę zdziwiony jej oficjalnym tonem.

- To moja robota, nie?

- No tak - rzuciła szybko. - Właściwie szkoda, że nie mogłeś być tu z nami wcześniej. Czy udało się wam ich złapać?

- A jakże, zatrzymaliśmy ich. Ale ciężarówka była pusta.

- Pusta?! - zapiszczała głośno. - Ale ja widziałam z tyłu zwierzęta, kiedy tędy przejeżdżali! Ty też widziałeś, prawda? - zwróciła się do Gabe'a.

- Tak mi się zdawało - powiedział ostrożnie. - Ale oślepiłi nas swoimi światłami, więc właściwie nie mógłbym przysiąc...

- Jestem pewna, że wieźli bydło! - krzyknęła z furją, zwracając się do Norma.

- Prawdopodobnie pozbyli się dowodów przestępstwa - zasugerował Gabe.

- Jeśli przypuszczali, że ich podejrzewacie, mogli wypuścić bydło, zanim ich dogoniliśmy - zgodził się Norm.

- Czy spisaliście ich?

- Tak. Karl Findley i dwóch jego pracowników. Znaciego? To właściciel farmy Red Ridge.

- Znam to miejsce - potwierdziła Piper. - Nie naj-

lepsze do hodowli, w samym końcu doliny, na pofałdowanym terenie.

Zachmurzyła się.

- Pewnie nieźle się bawi, zgarniając bydło wykarmione na dobrych pastwiskach.

- Miał dla nas gotową bajeczkę - twierdzi, że zawsze skraca sobie tędy drogę.

- Bzdura! Skraca sobie drogę do pieniędzy, cudzym kosztem - ucięła. - Rano rozejrzę się wzdłuż tej drogi i mogę się założyć, że znajdę stado naszych zwierząt.

- Pewnie masz rację - zgodził się Norm i westchnął. - To wkurzające, ale nie martw się, od dziś będziemy mieć tego ptaszka na oku. No cóż... Podrzucić was do domu? - spytał podejrzanie wesołym głosem. - A może dobrze się tu bawicie we dwoje?

Bezczelny!

- Jedziemy z tobą - warknęła Piper. - Pospiesz się! - popędziła Gabe'a, który kręcił się przy pickupie.

Kiedy w końcu wsiadł do policyjnego wozu, znowu miał w rękach jej białą suknię.

- Lepiej tego nie zostawiać - stwierdził z promiennym uśmiechem.

Norm też uśmiechał się szeroko. Boże drogi! Z pewnością myśli, że Gabe umiłał sobie i jej czas, pomagając jej się rozebrać.

Zmieszane spojrzenie Piper krążyło od jednego mężczyzny do drugiego. Czuła, że znowu się rumieni. Ze złości zacisnęła pięści.

- Ja... Musiałam się przebrać. Nie chciałam wałęsać się po buszu w sukni, więc...

- • Rozumiem, Piper - zachichotał Norm. - Jedźmy, chciałbym wrócić do domu - dodał, zapalając silnik.

Słońce już zachodziło, kiedy Piper i Gabe zapędzili odnalezione stado do właściwej zagrody.

- Pięćdziesiąt sztuk ocalone! - triumfowała uradowana dziewczyna.

Niepokoili ją tylko rozmowa z dziadkiem.

- Czym się martwisz? - spytała.

- Mówiłaś, że to był Karl Findley?

- Tak, właściciel Red Ridge. To twój dobry znajomy?

- Nie, ale agent, z którym rozmawiałem o sprzedaży Windaroo, wspominał o nim. Myślę, że Findley jest zainteresowany...

- Nie ma mowy!

Michael nie odpowiedział. Oczy Piper były okrągłe ze zgrozy.

- O Boże, dziadku! Chyba nie chcesz sprzedać Windaroo takiemu łajdakowi?!

- Chyba nie... - westchnął Michael. - Gdybym tylko nie był tak stary i słaby... Jestem już całkiem do niczego.

Piper, widząc smutek na jego zmęczonej twarzy, podeszła i uściśnięła go serdecznie. Starła się nie myśleć o jego kruchym zdrowiu.

- Kochany, stary głupcze - mruzczała, całując go w policzek. - Jesteś najlepszym dziadkiem na świecie.

- Dziękuję, kochanie - powiedział. - Miałem dobre życie. Dużo ciężkiej pracy, ale i dużo radości. I miłości - dodał, uściśnawszy jej ramię.

Piper przytulała policzek do jego miękkich, siwych włosów,

- Wspominałam dziś, jak kiedyś wszyscy razem spędzaliśmy bydło: ty, Roy, Gabe i ja. To były wspaniałe czasy.

- Tak, masz rację. Ale z ciebie było niezłe ziółko - zachichotał. - Pamiętam, jak podrzuciłaś Gabe'owi do torby martwego węża.

Roześmiała się.

- Odskoczył tak gwałtownie, że stracił równowagę i wpadł do strumienia. Musiał na to zasłużyć - dodała z nadaną miną.

Dziadek zabawnie przekrzywił głowę i przyglądał się jej uważnie.

- Pewnie mnie przezywał - wyjaśniła.

- On wynajdywał dla ciebie tylko miłe przydomki, jak kangurek albo...

- Albo mała zaraza - weszła mu w słowo. - A kiedy chciał mi naprawdę dokuczyć, nazywał mnie dziewczynką.

Albo promyczkiem... - pomyślała. Jak ostatniej nocy. Choć to wcale nie brzmiało jak przydomko...

Ale to nic nie znaczy... Zupełnie nic!

Wieczorem, kiedy już uporali się z bydłem, Gabe sprawiał wrażenie zamkniętego w sobie i szybko odjechał do Edenvale.

- Dobrze, że mi przypomniałeś o tym wężu - powiedziała z krzywym uśmiechem. - Może znów będę musiała przywołać Gabe'a do porządku.

Dziadek spojrzał na nią jeszcze uważniej i chyba chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się.



- Nie opowiedziałaś mi o balu - rzekł po chwili.  
O kurczę! Piper wołałaby ominąć ten temat.
- Było fajnie. Bardzo miło - odpowiedziała z wymuszonym uśmiechem.
- Wytańczyłaś się?
- Tańczyłam... Tyle, ile chciałam.
- A Gabe w końcu się pojawił?
- Tak. - Uciekła oczyma przed jego badawczym spojrzeniem. - Ale kiedy tylko dowiedzieliśmy się o tych zło-  
dziejach, to...

Michael pokręcił głową.

- Szkoda, że przerwaliście sobie zabawę,
- Mniejsza z tym.

Wstała z krzesła i zakręciła się nerwowo. Dziadek w irytujący sposób przy każdej okazji napomynał o Gabie. A niech to...

- Mam za sobą męczącą noc i pracowity dzień - oznajmiła, ziewając dla większego efektu. - Chciałabym coś szybko przekąsić i położyć się wcześniej.

- Oczywiście, moje biedactwo. Musisz przecież padać z nóg.

- Może być fasolka z grzankami?-
- Znakomicie, kochanie.

Gabe był dziwnie niespokojny.

Po kolacji, kiedy jego rodzina zasiadła przed telewizorem, łąził nad starym korytem rzeki. Był tak podminowany, że miał ochotę pożyczyć od brata paczkę papierosów. Z trudem się powstrzymał - nie palił od lat i nie chciał wracać do nałogu.

Kopnął energicznie kępkę trawy. Do rzeki posypał się grad kamyczków. Hałas zaniepokoił stadko kaczek, które zerwały się do lotu, a odbicie księżycowej poświaty rozpadło się na tysiące kawałków.

Z rękoma wciśniętymi głęboko w kieszenie przyglądał się rozedrganej powierzchni wody. W drugim końcu martwego koryta między drzewami latały z piskiem chmary nietoperzy.

Gabe uświadomił sobie, że się uśmiecha. Nie spodziewał się, że powrót do buszu sprawi mu tyle przyjemności. Dziś, pomagając Piper w spędzie bydła, po raz pierwszy od roku siedział na koniu. Mimo nieprzespanej nocy spokój buszu przywrócił mu dawne poczucie siły. Nawet milczące dostojęstwo drepczącego przed nim bydła powodowało, że pogodził się ze sobą samym.

Kiedy pod wieczór patrzył na rozległe, jasne pastwiska, nakrapiane sylwetkami krów i skaczących między nimi kangurów, zatrzymujących się tylko po to, by skubnąć kępkę trawy, czuł, że zachodzi w nim jakaś podskórna przemiana.

To trwało od dłuższego czasu, od wypadku chyba, ale teraz właśnie zdał sobie sprawę, że patrzy na znajomy pejzaż australijskiego interioru nowymi oczyma. Rozległe, płaskie przestrzenie, pokryte znajomą roślinnością - to właśnie, co gniewnie odrzucał jako młody człowiek, żądny podróży i podboju przestworzy - teraz przywracało mu spokój ducha.

Odnowiona więź z tą ziemią była pozytywnym doświadczeniem. Ale coś go przecież niepokoiło.

Niepokoiła go Piper.

Działała na niego w zaskakująco nowy sposób. Tak, jakby ją też postrzegał świeżym spojrzeniem. Myślał o niej niemal bez przerwy. Na jawie i we śnie.

Do licha, zawsze miał dla niej ciepłe uczucia, ale niespodziewanie ujrzał w niej atrakcyjną, godną pożądaną kobietę. Do tej pory nigdy się nawet nie zastanawiał, czy jest ładna.

To była po prostu Piper - uroczy dzieciak. Zawsze miała przyjemne rysy - delikatną bródkę, prosty, lekko piegowaty nos i jasnoniebieskie oczy. Jej miła, żywa twarz zawsze odbijała uczucia, choćby nie wiadomo jak starała się je skryć.

Minionej nocy wyglądała tak dorośle, tak niewiarygodnie pięknie, kiedy odważnie stawiała czoło stadu oniemiałych facetów. I później, kiedy niechcący zastał ją przebiegającą się na parkingu... I wreszcie, kiedy spała z głową złożoną na jego udach...

Zaszokowało go odkrycie, że jej pożąda. Czuł niesamowite, niemal bolesne pragnienie, którego nigdy nie doświadczył wobec innej kobiety. Każda chwila w jej bliskości stawała się torturą.

Prawdziwy problem.

Nie było sposobu, by zaspokoić te pragnienia. Piper z pewnością była dziewicą i nie szukała przelotnych przygód. Szukała przecież męża.

A on nie szukał żony.

Mężczyzna, myślący o małżeństwie, powinien mieć jasną i realistyczną wizję przyszłości. On jej nie miał od dnia, kiedy rozpędzona ciężarówka nie zatrzymała się na czerwonym świetle. Od tej pory czuł, że życie zależy od

ślepego losu i nie był w stanie wybiec myślą dalej niż do następnego dnia.

Doszedł do południowego końca zakola rzeki. Wziął kilka głębokich oddechów i westchnął długo, żałośnie. Spojrzał na rodzinny dom. Światła gasły jedno po drugim, rodzina szykowała się do snu.

Powinien z nimi porozmawiać - z pewnością niepokoił ich jego nastrój w ostatnim czasie. Może spróbuje jutro.

-Gabe?

Wchodząc na pogrążoną w mroku werandę, usłyszał niespodziewany głos.

- Mama? Co tu robisz po ciemku?

Eleonora Rivers siedziała w rogu wyplatanej kanapy.

- Czekam na ciebie. Siądź na chwilę. Nie będę cię długo zatrzymywać.

- Czy coś się stało?

- Właśnie chciałam cię o to spytać, synku.

- Wszystko w porządku - powiedział, odwracając wzrok.

- Nie w takim porządku, jak kiedyś. Byłeś nad rzeką. Chodzisz tam zawsze, kiedy coś zaprzęta twoje myśli.

Gabe milczał.

- Cieszę się, że wróciłeś do sił.

- Taak. Jestem okazem zdrowia - rzekł z goryczą i zaraz tego pożałował.

- Gabe - powiedziała miękko - wiesz, że kiedyś byłam pielęgniarką. Nauczyłam się zdumiewających rzeczy o rekonwalescencji po ciężkich urazach.

- Tak? - spytał zaciekawiony, choć nie lubił tego tematu.
- Zwykle kładzie się nacisk na urazy fizyczne. Oczywiście, bywają przerażające, bolesne i widoczne. Zbyt często jednak bagatelizuje się rany emocjonalne. Nie rzucają się w oczy, ale bywają głębsze i trudniejsze do zaleczenia. I zawsze pozostawiają blizny.

Przerwała, kładąc dłoń na jego ręce.

Gabe nie potrafił na to odpowiedzieć. Wypadek, rzecz jasna, pozostawił trwałe ślady w jego duszy. Pod koniec pobytu w szpitalu, kiedy fizycznie powracał do sił, ze zgrozą uprzytomnił sobie, że jest zupełnie rozbity emocjonalnie. Gdyby został ranny w trakcie służby, jego psychiką zajęliby się wojskowi terapeuci.

Nie znalazł nikogo, kto potrafiłby naprawdę zrozumieć, co czuł po wypadku: bezsilny, zimny gniew, że musi porzucić swój zawód.

Na co dzień, wydawałoby się, jakoś sobie z tym uczuciem radził. Teraz jednak, siedząc obok matki, zapragnął, by mu powiedziała, jak w dzieciństwie, że rano wszystko będzie dobrze.

- Musisz być cierpliwy, Gabe. Upłynie trochę czasu, zanim twoja przyszłość się rozjaśni.

Uścisnęła go, a on z trudem powstrzymywał łzy.

- Musisz wierzyć, że pewnego dnia odkryjesz w swym życiu nowy sens, synku - dodała.

- Tak myślę...

- Jestem pewna, że tak będzie.

Siedzieli kilka minut w ciszy.

- Co słyhać u Michaela Delaneya? - przerwała milczenie matka.

- Nie najlepiej. Z dnia na dzień wygląda słabiej i bardziej krucho.

- Odwiedzę go jutro. Zawiozę mu placek z ananasem. Uwielbia go, zawsze zrzędził, że Piper nie umie go upiec.

- Dobry pomysł - przytaknął.

- A co u Piper? Jak sobie radzi?

Zawahał się.

- Jest bardzo zmartwiona, rzecz jasna - odrzekł po chwili.

- To wszystko musi być dla niej bardzo trudne.

Niespodziewanie matka zachichotała. Gabe rzucił jej zdumione spojrzenie.

- Z czego się śmiejesz?

- Żałuję, że nie widziałam jej wczoraj na balu. Jonno mówi, że wyglądała wspaniale. Zaskoczyła wszystkich.

Gabe siedział sztywno z opartymi na udach rękami, nie odzywając się. Dokąd, u diabła, zmierzała ta rozmowa?

- Ona pierwszy raz wybrała się na bal, prawda? - naciskała Eleonora.

- Nie mam pojęcia - skłamał.

- Najwyższy czas, by się zaczęła udzielać towarzysko. Będzie potrzebowała przyjaciół, kiedy zabraknie Michała.

Odpowiedzią było chrząknięcie.

Eleonora pochyliła się i przyjęła taką samą pozę, jak on. Z drobną różnicą: Gabe był sztywny i spięty, jakby kij połknął, ona z kolei - całkiem odprężona.

- Wspomniałam Jonno, że ktoś powinien ją zabrać na wyścigi do Wattle Park. Tam jest bal w każdy weekend, doskonała okazja, by poznać szersze grono młodzieży.

Gabe poczuł na grzbiecie ciarki.

- Jonno chce się z nią wybrać? - spytał trochę zbyt szybko.

- Nie sędę - zaprzeczyła. - Jest zbyt zaafierowany ciągłymi rozstaniem i godzeniem się z Suzanne Heath. Ale jestem pewna, że po wczorajszym wieczorze nie zabraknie chętnych - dodała z uśmiechem, wstając.

- Powinna być zadowolona. Szuka męża.

Matka była wyraźnie zaskoczona. Po chwili ziewnęła nieco teatralnie.

- Czas na mnie. Kochanie, dobrze, że pogawędziliśmy, ale o świącie muszę podać twemu ojcu śniadanie.

- Dobranoc.

Gabe patrzył za nią z chmurną miną. Jak to się stało, że Piper i wyścigi w Wattle Park pojawiły się w rozmowie o stanie jego emocji?

Najpierw matka go pociesza swą niezachwianą wiarą w przyszłość, a za chwilę znów budzi niepokój w jego sercu.

Wstał, przeciągnął się i w zamyśleniu ruszył do domu w ślad za matką.

Drażniło go, że przypadkowa wzmianka o Piper tak go poruszyła. Podejrzewał, że matka rozmyślnie skierowała rozmowę na Windaroo.

Wszystko to dziwnie się poplątało. Najwyższy czas zrobić z tym porządek.

I nagle, ni stąd, ni zowąd pojawiło się w jego głowie rozwiązanie.

Piper musi wyjść za męża. To rozwiąże wszystkie jego problemy. Kiedy będzie należała do innego mężczyzny,

kiedy Windaroo będzie bezpieczne, on będzie mógł stąd wyjechać z czystym sumieniem. Wyjechać, by uporządkować własne życie.

Aby tak się stało, musi pomóc Piper w znalezieniu męża. Im prędzej, tym lepiej.





## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wyścigi w Wattle Park! Piper była tak podekscytowana, że omal nie cisnęła w kąk klamerki do bielizny, by zarzucić Gabe'owi ręce na szyję.

Iść z nim na bal? Z przyjemnością! Znowu założyć tę piękną suknię? No pewnie! Tańczyć? Z nim? Całą noc? Oczywiście, z rozkoszą!

Jedynie jego chmurne spojrzenie spoza sznurów obwieszonych śnieżnobiałym praniem studziło nieco jej wielki entuzjazm.

- Weekend w Wattle Park da ci doskonałą okazję poznania młodych mężczyzn spoza okręgu Mullinjim.

Co takiego?!

- Jestem pewien, że znajdziesz tam wielu odpowiednich kandydatów na męża - dodał Gabe z niewyraźnym uśmiechem.

Piper, przed chwilą rozradowana, nagle oklapła niby przekłuty balon.

- Dziękuję ci za zaproszenie, ale niestety nie będę mogła pojechać.

Wrzuciła energicznie klamerki do wiaderka i włożyła kłęb pościeli do kosza.

- Nie mogę zostawić dziadka na cały weekend - wyjaśniła.

Odpinała kolejne, pachnące świeżością i słońcem lina-  
ne prześcieradło, skrywając za nim twarz, rozczarowana  
tym dwuznacznym zaproszeniem.

Dotknął ją do żywego, choć wiedziała, że to niemądre  
uczucie. Ostatnimi dniami była rozdrażniona, jej nastroje  
oscyłowały między euforią a przygnębieniem.

A teraz chowała się przed jego spojrzeniem za rozwie-  
szoną pościelą. Jak on mógł jej to zrobić? Przecież patrzył  
na nią ostatnio w taki sposób... Tak słodko i łagodnie,  
jakby chciał... Jakby...

Odkąd to zapragnął z takim cholernym zapałem zostać  
jej swatem?! Kiedy po raz pierwszy prosiła go o pomoc,  
wymawiał się, jak mógł! A teraz nagle poczuł się eksper-  
tem matrymonialnym!

Przytrzymała się sznura od bielizny, czując, że nogi się  
pod nią uginają.

Gabe zdawał się nie dostrzegać jej nagle odmienionego  
nastroju.

- Michael poradzi sobie przez weekend - przekony-  
wał. - Jest przecież Roy, a i moja matka obiecała przyje-  
chać z wizytą.

Piper opuściła nieco prześcieradło i przyjrzała się uważnie  
Gabe'owi.

- Twoja matka?

Skinął głową i sięgnął po rozwieszone powłoczki.

- Była kiedyś pielęgniarką. Dawno temu, jeszcze  
przed ślubem, ale Michael byłby bezpieczny pod jej  
opieką.

Piper stała jak zamurowana z prześcieradłem przyciś-  
niętym do piersi. Gabe naradzał się z matką, jak znaleźć

męża dla niej! Jeszcze przed tygodniem to by ją ucieszyło. Czemu nie cieszy się dziś? Czyż nie tego chciała?

Mimo woli przypatrywała się Gabe'owi. Zdejmował pranie i układał je w koszu. Rytmicznie pochylał się i prostował, pochylał i prostował. Pod niebieską, bawełnianą koszulką grały jego muskuły. Silne dłonie odpinały klamkerki i ciskały je do wiaderka. To dziwne, że mężczyzna mógł wyglądać aż tak atrakcyjnie przy typowo kobiecym zajęciu.

Jego szerokie ramiona, szczupłe biodra, opięte wyblakłymi dzinsami... Wszystko to przyciągało jej wzrok.

Ich oczy spotkały się.

- Co się stało? - zapytał ze zdziwionym uśmiechem.

- Nic - mruknęła i rzuciła prześcieradło do kosza.

Idiotka! Otrząsnęła się, by przestać się na niego gapić.

- To bardzo miło ze strony Eleonory...

- A więc pojedziesz?

Do diabła! Czyżby wpadła we własne sidła?

- Nie powinnam. Właśnie oddzieliłam cielęta od krów, są we własnej zagrodzie. Trzeba je nadzorować przez kilka tygodni...

- Piper, to tylko weekend! Zostawisz im w żłobach więcej odżywki białkowej i świetnie sobie poradzą.

- Chyba tak - zgodziła się i zlustrowała go czujnie.

- Ale przyrzekasz, że nie będziesz rozkazywał facetom, żeby ze mną tańczyli?

Roześmiał się głośno. Ostatnio jego śmiech przeszywał jej całe ciało bolesnym dreszczem.

- Obiecuję, będę się zachowywał bez zarzutu. To co, mogę załatwić rezerwację?

Poryw wiatru przykleił ostatnią sztukę bielizny do jej twarzy. Piper powoli zdejmowała prześcieradło.

- Muszę to przemyśleć. Najpierw porozmawiam z dziadkiem.

Michael Delaney długo przyglądał się przez kuchenne okno dwóm postaciom między sznurami bielizny. W końcu odwrócił się do Roya, który właśnie wpadł na popołudniową herbatkę.

- Wszystko idzie dobrze, stary - rzucił wesoło, puszczając do kompana oko.

- Co takiego? - Roy spojrział w okno, by znaleźć powód tej radości.

- Piper i Gabe są coraz bardziej nieszczęśliwi, Roy podrapał się po łysinie.

- Powiadasz, że to dobrze?

- Znakomicie! - rozpromienił się Michael. Wrócił do stołu, gdzie czekał już imbryk i dwa kubki. - Tak to już jest. Gdyby tylko jedno z nich było nieszczęśliwe, mielibyśmy problem. Skoro jednak oboje wyglądają tak żałośnie, trzeba się cieszyć!

- Nie łapię - westchnął Roy, patrząc na Michaela z tak intensywnym zdumieniem, że prawie dostał zęza.

Michael usiadł i rozlał do kubków mocną herbatę.

- Chłopie, byłeś kiedyś zakochany?

Roy prychnął i usiadł szybko.

- Nie pamiętam.

Przysunął sobie kubek i wsypał doń dwie łyżeczki cukru. Zamieszał herbatę i chrząknął.

- Faktycznie, raz byłem zakochany. Dawno temu.

- Ty padalcu! Znamy się tyle lat i nigdy pary z gęby nie puściłeś!

- No, wiesz... To nie poszło najlepiej. Zresztą, faceci nie gadają o takich sprawach.

- Ale pamiętasz, jak się wtedy czułeś?

Roy łyknął herbaty i odstawił kubek, zastanawiając się intensywnie.

- Prawie cały czas byłem cholernie przerażony - odpowiedział z nieśmiałym uśmiechem.

- O to mi chodzi! - wykrzyknął Michael. - Pamiętam, jak poznałem moją Mary, Panie świeć nad jej duszą. Boże! Dała mi nieźle w kość! Te katusze! I nerwy, a czy zechce, a co pomyśli. Ta pewność, że życie bez niej nie byłoby warte funta kłaków.

Roy spojrzał w kierunku okna.

- Mówisz, że o to właśnie tam chodzi?

- Coś w tym rodzaju, stary - potwierdził Michael i upił spory łyk herbaty. - Ale tych dwoje ma z tym większy problem, bo znają się tak dobrze.

Roy westchnął.

- Znowu nie kumam, Mick. To bez sensu.

- Ja to widzę tak: Piper jest dla Gabe'a dziewczynką z sąsiedztwa, a on dla niej kimś w rodzaju starszego brata, którego zna od urodzenia.

- No dobra. I co z tego?

- Chodzi o to, że ostatnio spojrzeli na siebie inaczej, ale pogubili się w tym. Zupełnie nie rozumieją, co się między nimi dzieje.

- Ale myślisz, że są naprawdę zakochani?

Trzasnęły drzwi i do kuchni wpadła Piper z koszem

bielizny. Twarz miała bladą i wymizerowaną. Spojrzała na nich niewidzącym wzrokiem.

- Nalać ci herbaty, kochanie? - spytał Michael.

Przeszła bez słowa przez kuchnię i po chwili zniknęła w korytarzu.

- A gdzie Gabe? Zajrzy na herbatę?! - krzyknął za nią dziadek.

Cofnęła się w okamgnieniu.

- Co mówiłeś o Gabie? - zapytała.

Michael spojrzał porozumiewawczo na Roya.

- Czy Gabe przyłączy się do nas? - spytał ponownie.

- Nie pomyślałam o tym - odrzekła zimno. - Nie zaprosiłam go, a teraz już za późno, pojechał do domu.

Ponownie wyszła z kuchni. Roy popatrzył za nią z namysłem. Nachylił się nad stołem i ujął kubek w pomarszczone dłonie.

- Tobie zależy, żeby oni się zeszli, prawda?

- Tak, stary - potwierdził Michael z rozmarzonym uśmiechem. - Na niczym na świecie tak bardzo mi nie zależy... Mógłbym umrzeć spokojny, gdyby Gabe zaopiekował się moją małą dziewczynką.

- A jeśli się mylisz, stary głupcze? Powarukują na siebie, a dla ciebie to jest jakiś tajemniczy znak, że są w sobie zakochani. A może oni oddalili się od siebie przez te dziesięć lat?

- Nieprawda! - krzyknął chrapliwie Michael.

Nerwowo obrysowywał palcem kwadraty na czerwonym, kraciastym obrusie. Słowa Roya posiały w jego sercu zwątpienie. Osunął się niżej w krześle.

- Boże, naprawdę myślisz, że mogę się mylić?

Roy znowu podrapał się po łysinie.

- Nie wiem, stary. Może powinienem zamknąć dziób.  
Nie znam się na romansach.

- Jestem przekonany, że są sobie przeznaczeni - wyszeptał Michael.

Wysączył resztkę herbaty, odstawił kubek i spojrzał na Roya z przebiegłym błyskiem w oku.

- Tak czy siak, ustaliłem coś ze swoim prawnikiem. Mam nadzieję, że to im pomoże opamiętać się. Mogę się tylko modlić, żeby to poskutkowało.

RS  
RS

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Gabe'a bal nie cieszył.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem. Powinien być zadowolony. Nie był.

Piper zgodziła się w końcu pojechać z nim do Wattle Park, co oznaczało, że będzie mógł czuwać nad jej polowaniem na męża.

Wystroiła się na tę okazję: biała suknia, kolczyki w uszach, rozpuszczone włosy, uśmiech na twarzy, dzielna mina.

Opłaciło się.

Ciągle ktoś ją zapraszał do tańca, a przez ostatnie czterdzieści minut nie wypuszczał z ramion pewien wyjątkowo przystojny osobnik.

Nazywał się Charles Kilgour i dziwnym zbiegiem okoliczności, takie zbiegi okoliczności zdarzają się w buszu, był bratem jej szkolnej koleżanki, mieli więc temat do rozmowy. Prawdę powiedziawszy, i bez tego coś między nimi zaiskrzyło od pierwszej chwili.

Powinna więc być w siódmym niebie.

Pocziwy Charles miał wszystko, czego człowiek może chcieć od potencjalnego kandydata na męża: wysoki, wysportowany, jasnowłosy... do tego olśniewająco białe zę-



by, czyste paznokcie i odpowiedni wiek, bo Charles był mniej więcej dwa lata starszy od Piper. Piper chyba dobrze czuła się w jego towarzystwie, pozwalając się obejmować, śmiała się perliście i patrzyła na niego jak na Księcia z Bajki.

Sęk w tym, że...

Gabe'owi Charles się nie podobał. Przeprowadził małe prywatne śledztwo, z którego wynikało, że Charles Kilgour uwodzi i porzuca, czyli ma dość lekki stosunek do związków z kobietami. Kiedy tylko zwietrzył, że któraś ma poważne zamiary, zniknął jak sen złoty.

Gabe był świadkiem pierwszej rozmowy Piper z Charlesem, po południu w namiocie, gdzie po wyścigach serwowano drinki. Piper wystąpiła w nowej, bardzo eleganckiej błękitnej sukience bez rękawów; do tego wytworny słomkowy kapelusz i okulary słoneczne.

Gabe nigdy dotąd nie widział jej w okularach. Zwykle gdy słońce raziło zbyt mocno, nasuwała akubrę głębiej na czoło i mrużyła oczy. Dzisiaj pokazała mu się w roli pięknej, tajemniczej nieznajomej.

Był z niej dumny. Jak ojciec może być dumny z córki, ma się rozumieć.

Początkowo wszystko było dobrze. Przyłączyli się do towarzystwa, z każdym zamienili słowo, żartowali, wymieniali uwagi na temat koni, jak to zwykle przy takich okazjach.

Było bardzo miło, Gabe czuł się odprężony. Nawet kiedy na horyzoncie pojawił się Charles Kilgour i z marszu zaatakował Piper, nie zepsuło mu to humoru.

Dopiero kiedy towarzystwo zaczęło się rozpraszać, bo

nadchodziła pora rozpoczęcia balu, sprawy przybrały kiepski obrót. Charles wziął Gabe'a na stronę.

- Piper jest w porządku łaska, nie? - zagadnął z porozumiewawczym, oblesnym uśmiechem.

Gabe mruknął coś niezrozumiałego w odpowiedzi.

- Powiedziała, że nie jesteś jej facetem, tylko przyjacielem rodziny, ale ja tam wolę się upewnić, na czym stoję - ciągnął Charles.

W Gabie natychmiast zrodziła się przemożna ochota, żeby przyłożyć młodzieńcowi, po czym wpakować go do najbliższego kontenera na śmieci. Jakoś zdołał się powstrzymać.

- Chciałem tylko wiedzieć, czy horyzont czysty - powtórzył Charles, widać miał skłonność do wyswieczanych metafor.

Gabe zacisnął dłonie.

- Horyzont czysty?

Tu Charles cofnął się o krok i zmierzył Gabe'a pełnym politowania spojrzeniem.

- Nie lubię wchodzić nikomu w paradę, ale jak Piper jest wolna, to ja, tego... chętnie skorzystam.

- Skorzystasz? - wycodził Gabe przez zęby. - Ostrzegam cię, że ona... - słów mu zabrakło - jest bardzo młoda.

- Tak? - zdziwił się Charles uprzejmie. - A ile ma lat?

- Nie mówię o wieku. - Gabe poczuł, że zaczyna się pocić. - Rzadko bywa, z mało kim się spotyka...

Charlesa olśniło.

- Znaczy się, dziewica?

Chęć bliższego kontaktu ze szczęką domyślnego Charlesa

była tak wielka, że Gabe na wszelki wypadek wcisnął dłoń do kieszeni.

- To ciekawe - monologował Charles. - Spoko, facet, ktoś kiedyś musi być tym pierwszym. Ja, na przykład, nie byłbym od tego.

Po tej rozmowie Gabe natychmiast zaciągnął Piper do hotelu. Zanim dotarli do swoich pokoi, zdążyli się pokłócić.

- Jak to, nie mogę zatańczyć z Charlesem? - awanturowała się Piper. - Odbiło ci?

- Nie wrzeszcz tak, Piper. Po prostu zaufaj mi. On nie jest w twoim typie.

- Jest jak najbardziej w moim typie - wyszczała. - Hodowca bydła. Dwadzieścia pięć lat. Jego siostra, Angela, to moja koleżanka. Poza tym lubię go! Skąd mam wiedzieć, czy nadaje się na męża, jeśli nie wolno mi nawet z nim zatańczyć?

Brzmiało to całkiem logicznie. Piper miała prawo wpaść w złość, a on sam zareagował przesadnie. Trudno, przesadnie czy nie, tak zareagował i koniec. To w końcu Piper miała polować, nie mógł wystawiać jej na strzał Charlesa.

- Jeśli nie widzisz w tym typie nic podejrzanego, to powinnaś przejść przyspieszony kurs oceniania ludzi, bo twój zmysł krytyczny najwyraźniej śpi, o ile w ogóle go posiadasz.

- Jak śmiesz?

Z impetem otworzyła drzwi swojego pokoju i z jeszcze większym je zatrzasnęła, znikając Gabe'owi z oczu.

Popełnił błąd taktyczny, co zauważył poniewczasie. Te-

raz Piper jemu na złość zainteresuje się Charlesem Kilgourem. Już jej tego nie wyperswaduje, chyba że chce się zachować jak neurotyczna niańka.

A efekt: Piper baluje przyklejona do tego oślizłego typu. Musiała oczywiście dowieść, że zamierza robić, co się jej podoba.

Wystarczający powód, żeby człowiek miał ochotę się napić.

Gabe dokończył swoje piwo, rzucił kolejne pełne obrzydzenia spojrzenie w stronę Piper i pofatygował się do baru po kolejny kufel. Po drodze zatrzymali go starzy znajomi, wypytywali o zdrowie, o wypadek, cieszyli się, że znowu go widzą na chodzie, chcieli opowiedzieć o sobie, usłyszeć o jego planach...

Kiedy wrócił do sali balowej, Piper i Charlesa już tam nie było.

- I to jest to - stwierdził Charles, wyprowadzając Piper z sali balowej w mrok. - Jak tu chłodno i przyjemnie.

W każdym razie swobodniej niż w sali, pomyślała Piper ponuro. Pod okiem psa stróżującego.

Jak miała się dobrze bawić, czując cały czas na sobie ponure spojrzenie Gabe'a? Przecież nikogo w ten sposób nie pozna, jeśli on będzie cały czas jej pilnował. Miał jej pomagać, a tymczasem utrudniał.

Sposób, w jaki próbował zniechęcić ją do Charlesa... Niewybaczalne. Charles był doskonałym materiałem na męża. Uprzejmy, wręcz nadskakujący. Cały czas prawił jej komplementy. Wysoki. Przystojny - na swój sposób.

A teraz prowadził ją nad rzekę, gdzie rosły stare dęby.

Czuła podniecenie i lekki lęk. Wiedziała, że Charlie chce ją pocałować... i czekała na to. Niech diabli wezmą Gabe'a. Nie miał prawa pozbawiać ją względów innych mężczyzn. To jest, innego mężczyzny.

Jeśli wszystko pójdzie po jej myśli, to kto wie? Może nawet Charles zakocha się w niej? I Windaroo zostanie uratowane. Dziadek nie sprzeda farmy, jeśli ktoś taki jak Charles poprowadzi wnuczkę do ołtarza.

Nie, nie chciała widzieć w Charlesie baranka ofiarnego, znacznie przyjemniej było wyobrażać sobie wspólną przyszłość: wspólny dom, dwójka dzieci, chłopiec i dziewczynka, oczywiście, oboje o jasnych główkach.

Zanim dotarli do dębów, Piper zdążyła przesądzić, że pocałunek w wykonaniu Charlesa, to rzecz bez wątpienia przyjemna. Będzie miło. Rozkosznie. Objął ją, poddała się bez oporu. Dobry początek; Charlie był amantem odpowiedniego wzrostu. Mogła mu wygodnie złożyć głowę na ramieniu. Duża zaleta u męża.

- Mówiłem ci już, że jesteś urocza? - zagadnął kandydat na męża.

Uśmiechnęła się w jego ramię. Owszem, mówił, co najmniej tuzin razy.

- Faceci w Mullinjim to gapy. Że też pozwolili wymknąć się takiej dziewczynie. - Przesunął dłonią po jej plecach. - Cieszę się, że jesteś tu ze mną.

Piper zaczynała się niecierpliwic. Nie chciała, żeby Charles gadał. Tym bardziej że się powtarzał. Jeśli zamierza ją pocałować, niech ją wreszcie pocałuje. Uniosła głowę, chcąc zasygnalizować mu swoje oczekiwania, zanim on znowu zacznie mówić.

Podziałało. Charles wydał odgłos, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa miał oznaczać zaskoczenie, i jego wargi weszły natychmiast w kontakt z wargami Piper.

Bardzo to było przyjemne. Miło znaleźć się w ramionach mężczyzny, czuć jego usta na swoich ustach. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że jednak trochę się bała, czy spodoba się jej całowanie.

- Dobra w tym jesteś - mruknął Charles z uznaniem.
- Dziękuję.

Pocałowali się jeszcze raz i nadal było bardzo przyjemnie, chociaż na moment zrobiło się mniej przyjemnie, kiedy Piper przypomniała sobie piorunujące wrażenie, jakie zrobił na niej dotyk Gabe'a.

Skup się na Charlesie, powiedziała sobie. Nie wolno teraz popsuć wszystkiego myśleniem o Gabie. Charles ją komplementował. Tańczył z nią. Nadskakiwał jej. A Gabe stał w kącie ze skwaszoną miną i nie spuszczał z niej oka. Charles był naprawdę w porządku i Piper była gotowa, we właściwym czasie, ma się rozumieć, nawiązać z nim bliższy kontakt.

Jeszcze nie teraz.

Kiedy poczuła jego dłoń na piersi, cofnęła się.

Charles zaśmiał się nerwowo.

- Jesteś taka seksowna, że człowiek zapomina...
- Zapomina? O czym? - zainteresowała się Piper.
- Ach... - Charles skrzywił się lekko i ujął jej dłoń.
- Ledwie się poznaliśmy - wyjaśnił i pocałował Piper w czoło. - To dla mnie wyjątkowy wieczór.

Piper uśmiechnęła się.

- Dla mnie też.  
- Chciałbym lepiej cię poznać. Dowiedzieć się, jaka naprawdę jest Piper O'Malley. Szkoda, że mieszkasz tak daleko.

- Mamy jeszcze jutro dla siebie.

Charles rozpromienił się na te słowa, wypiął pierś.

- Tak, musisz spędzić cały dzień ze mną, a wieczorem zaproszę cię na dobrą kolację.

- Wspaniale.

- Zatem postanowione. - Charles, w pełni usatysfakcjonowany, podał Piper ramię i ruszyli z powrotem do sali balowej.

- Musimy się spotykać, koniecznie - powiedział Charles.

- Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej.

Piper uśmiechnęła się triumfalnie. No i proszę bardzo. Kto by się spodziewał, że rozwój wypadków przybierze takie tempo? Tyle osiągnąć w ciągu jednego krótkiego wieczoru... Mogła być z siebie dumna.

Gabe czekał przy drzwiach.

Zmierzył oboje tak paskudnym spojrzeniem, że Piper zapomniała o swoich osiągnięciach. Dobry nastrój diabli wzięli.

Nie wybaczę mu, jeśli w tej chwili urządzi scenę i narobi mi wstydu. Niech zostawi Charlesa w spokoju. Nie zniosę tego.

- Wybacz, Charles..- Z ust Gabe'a powiało lodem.

- Muszę porozmawiać z Piper.

- O co chodzi? - zapytała Piper tym samym zimnym tonem.

- Zechcesz wyjść ze mną na moment?

Piper hardo zadarła głowę, wysunęła do przodu brodę.

- Nie możesz tutaj powiedzieć, w czym rzecz?

- Nie mogę - w głosie Gabe'a zabrzmiało teraz zniecierpliwienie.

I Piper się przeraziła.

- Chodzi o dziadka? Coś się stało? Masz złe wieści?

Zamiast odpowiedzieć, ujął ją pod łokieć i popchnął do wyjścia, rzucając jeszcze na odchodnym do Charlesa:

- Zaraz wrócimy, a ty idź się czegoś napić, kolego.

- Chodzi o dziadka? - powtórzyła Piper, kiedy znaleźli się na zewnątrz.

- Nie - wycodził Gabe. - Gdyby Michael źle się poczuł, moja matka na pewno zaraz by mnie zawiadomiła.

- To po co wyciągnąłeś mnie z sali? Dlaczego psujesz mi wieczór?

Gabe zatrzymał się dopiero pod dębami, pod którymi zaledwie przed chwilą Piper całowała się z Charlesem.

- Sprawdziłem tego twojego kochasia.

- Powiedziałam ci, żebyś pilnował swoich spraw. Charles nie jest kryminalistą.

- Nie, ale gdyby jego siostra była naprawdę dobrą koleżanką, ostrzegłaby cię przed nim. Charles nie ma za ciekawej kartoteki.

- Nie bądź śmieszny. Przeprowadzasz lustrację kandydatów?

- Można tak to nazwać. Charles ma fatalną opinię. Jego stosunek do kobiet...

- Nie chcę słuchać! - Wyłączyła się. Nie pozwoli, żeby Gabe zatruł jej wieczór. - Nie będziesz oczerniał mojego przyjaciela!



- Przyjaciela? Znasz go od pięciu minut.

- Nieważne. Nie obchodzą mnie twoje rewelacje. To plotki. Na temat twojej przeszłości ludzie też mają sporo do powiedzenia.

- Możliwe. Tylko że ja nie uderzam w konkury do ciebie - wycedził Gabe.

Czegoś takiego nie mogła zostawić bez odpowiedzi.

- I bardzo dobrze. Widać urodziłam się pod szczęśliwą gwiazdą - odparowała. - Byłabym wdzięczna, gdybyś przestał węszyć wokół mnie. Charles zrobił na mnie... wielkie wrażenie.

Gabe dosłownie pchnął ją pomiędzy drzewa.

- Ucieliście sobie krótkie tete-a-tete?

- Nie bądź wulgarny - zachnęła się Piper.

- Przyjemnie było, Piper? - wydyszał. - Będziesz miała co wspominać?

Powinna uciąć tę rozmowę, odwrócić się i odejść, ale jakiś czort jej nie pozwalał, chciała dopiec Gabe'owi, odpłacić mu pięknym za nadobne. Jak mogła kiedykolwiek widzieć w Riversie szlachetnego rycerza, wcielenie męskich cnót? Co za naiwność!

Wysunęła brodę do przodu i zmierzyła go tak lekceważącym spojrzeniem, na jakie było ją stać.

- Skoro tak się dopytujesz, to ci powiem. Tak, będę miała co pamiętać. Było wspaniale. Pocałunek Charlesa... był po prostu fantastyczny.

- Charles to bałwan.

- Przy nim czuję się jak prawdziwa kobieta.

Gabe otworzył usta i szybko odwrócił wzrok, a Piper serce stanęło.

- Do diabła, Piper, nie trać głowy dla pierwszego faceta, który się napatoczył - powiedział z uśmiechem politowania. - Idę o zakład, że gdybym ja cię pocałował, też poczułabyś się prawdziwą kobietą. Pocałunki już mają to do siebie.

Nie!

Miała ochotę wykrzyknąć zaprzeczenie na cały głos, ale zdołała tylko wyszeptać:

- Nie.

Gabe zbliżył się do niej; spokojny, opanowany, bezlitosny.

- Tak, Piper - mruknął. - Tak właśnie działa pocałunek. - Objął ją delikatnie.

Próbowała się opierać, ale nie była w stanie. Miała wrażenie, że wszystkie siły z niej uszły. Zdołała tylko zamachać rękami, ale na Gabie nie zrobiło to żadnego wrażenia.

Po chwili poczuła jego usta na swoich ustach.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zaskoczył ją, kompletnie zaskoczył.

Tak bez uprzedzenia, bez wstępu. Żadnego czułego gestu, jednej pieszczoty... Nagle zamknął ją w ramionach i brutalnie pocałował. Z wrogością. Przez kilka sekund usiłowała się opierać, walczyła, nie chciała się poddać.

Głupie myśli. To przecież Gabe. A serce nie sługa. Ciało nie słuchało rozumu, a i rozum szybko przestał się wtrącać.

Te szerokie bary, na których opierała dłonie, te ramiona, które zamykały ją w objęciach, te usta, które czuła na swoich wargach - to przecież Gabe.

Jego zapach.

Zamknęła oczy, już nie myślała się opierać, tylko smakowała wrażenia. Zapach jego skóry, świeży jak zapach wiatru pośród drzew. Napór jego ciała. Zaborcze usta.

Nagle dotarło do niej, że czekała na tę chwilę całe życie. Nie mogła jej zmarnować, łaknęła jej. Zrzuciła mu ręce na szyję i oddała pocałunek.

Jakie wspaniałe poczucie bliskości!

Jakie szczęście!

Nie przestawali się całować. Z każdą chwilą było wspanialej, cudowniej.

Och, Gabe! Gabe! Gabe!

Ciało ogarniał żar, pożądanie. Tak, temu mężczyźnie było gotowa ofiarować wszystko.

Jeśli Gabe powie słowo, jeśli tylko jej pragnie, ona będzie jego.

Teraz.

Kiedykolwiek.

Na zawsze.

Gabe oderwał usta od jej ust, chciał się odsunąć. Nie! Przynęła się, on odwrócił gwałtownie twarz.

Zdjęła ją panika. Nie. On nie może tak się zachować. Nie może przerwać. Nie teraz.

- Gabe! - zawołała zdławionym głosem.

Przez moment już się jej wydawało, że przygarnie ją znowu do siebie. Nie. Cofnął się tak raptownie, że omal nie upadła.

Zachwiała się i Gabe błyskawicznie wyciągnął rękę, żeby ją przytrzymać.

Pocałuj mnie jeszcze raz. Proszę, Gabe. Nie niszczy tej magii. Gabe oddychał szybko, jego dłoń drżała. Był tak samo wstrząśnięty jak ona, ale, chociaż ją podtrzymywał, starał się zachować dystans.

- Co się dzieje? - szepnęła i podniosła dłoń, żeby dotknąć jego policzka.

- Nic - rzucił ostro i znowu zrobił unik. Zamknął przy tym oczy, jakby nie mógł znieść widoku emocji malujących się na jej twarzy. - Zawsze byłaś trudną osobą, Piper. Mam nadzieję, że weźmiesz sobie do serca nauczkę.

Nauczkę.

Ma nadzieję, że ona weźmie sobie do serca nauczkę?

Ciężkie słowa.

Słowa, które raniły i których nie rozumiała.

- O czym ty mówisz?

Gabe otworzył oczy.

- Poczułaś się jak kobieta?

Nie! Nie mógł zrobić czegoś takiego. Nie mógł całować się z nią, zbliżyć się tak bardzo, a potem udawać, że to tylko „nauczka”.

Łzy cisnęły się jej do oczu. Nie mogła oddychać.

- Chcesz powiedzieć, że ten... ten incydent to była tylko nauczka?

Znowu odwrócił wzrok. Widziała teraz jego profil: zacięta mina, uniesiona broda. Uosobienie gniewu.

- Tak, to miała być nauczka - stwierdził sucho.

Gdyby była odważniejsza, zapomniaby o dumie i powiedziała mu, że jego eksperyment nie powiódł się, skończył się całkowitą kląpą. Że poczuła się tysiąc razy bardziej kobietą niż wtedy, kiedy całowała się z Charlesem. Że tamten pocałunek, w porównaniu z pocałunkiem Gabe'a, był równie seksowny jak czyszczenie zębów nitką dentystyczną.

Nie mogła mu tego powiedzieć.

Duma i zacięty wyraz twarzy Gabe'a odejmowały jej całą odwagę.

- Nie wierzę ci - tyle zdołała powiedzieć.

Ale nawet tego było mu chyba za dużo, bo zeszywniał, wyprostował ramiona, jak żołnierz stojący na baczność. Nieruchomy niczym głaz. Miała wrażenie, że wieki minęły, zanim znów spojrzął jej w oczy.

- Uwierz, Piper. To prawda. Niezbyt sympatyczna, niemniej prawda.

Miała wrażenie, że nagle uszło z niej powietrze. Jaka z niej idiotka. Przez te wszystkie lata żyła złudzeniem, że Gabe jest kimś wyjątkowym.

Był najzwyczajszym szczurem.

Szczurem i potworem.

Tylko potwór może tak całować i twierdzić potem, że to nauczka.

Zalałyby się łzami, gdyby nie była silną osobą. Piper O'Malley nigdy nie bała się szczurów i potworów. Nigdy nie była mazgajem i strachajłem. Nie na darmo wszyscy twierdzili, że jest jak chłopak. Dzielna i twarda. Nawet spadając z konia, natychmiast się podnosiła na równe nogi.

Wyprostowała się, jak Gabe, i zmierzyła go chłodnym spojrzeniem.

- Zawsze udzielasz nauczek kobietom?

- Tylko tym, które się o to proszą. - Wcisnęła dłonie do kieszeni i wydał z siebie teatralne westchnienie. - A i wtedy nadzwyczaj niechętnie.

- Niechętnie? - prychnęła Piper z niedowierzaniem. - Zauważyłam tę niechęć.

- Nie przybieraj takich wyniosłych tonów, Piper. To nie był mój pomysł. Przypomnij sobie, jak błagałaś mnie o pomoc, kiedy szukaliśmy złodziei bydła.

Akurat tego wołałyby nie pamiętać: tamtej nocy, kiedy rzeczywiście błagała niemal, żeby ją pocałował. A on odmówił.

- Wiesz, jaki jestem - ciągnął Gabe. - Kiedy ktoś daje mi zadanie, staram się wykonać je najrzetelniej, jak potrafię. Czuję się odpowiedzialny. Tłumaczę ci, że to nie ten

facet, nie tędy droga, ale ty nie chcesz nawet słuchać. Lekceważysz moje uwagi, bo ty, oczywiście, wiesz lepiej.

Piper prychnęła ze wzgardą i próbowała przywołać na twarz ironiczny uśmiezek, który wypadł raczej blado.

- Ostrzegałeś mnie przed Charlesem, ale kto miał ostrzec mnie przed tobą?

Gabe zamrugął gwałtownie, zdumiony.

- Charles nie wykorzystał mnie, ty tak - oznajmiła z wyrzutem, starając się zapomnieć o własnej reakcji na pocałunek Gabe'a. - Kto ma pilnować policjanta? - Nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnęła: - Dziękuję bardzo za lekcję, której mi udzieliłeś. Masz rację, nauczyłeś mnie dzisiaj bardzo wiele.

- Miło słyszeć. - Przechylił głowę, jakby czekał na wyjaśnienia.

- Wiem już, że nigdy więcej nie poproszę cię o pomoc, ani z niej nie skorzystam.

Widząc jego osłupiałą minę, uśmiechnęła się szeroko, odwróciła się z istic królewską godnością i odeszła. Gabe ruszył za nią.

- Zostań, Gabriel - rzuciła takim tonem, jakby polecała psu warować. - Nie waż się iść za mną do sali. Prawdę mówiąc, byłabym zobowiązana, gdybyś do końca weekendu nie pokazywał mi się na oczy.

Stał, gdzie kazano mu zostać, i patrzył, jak Piper znika w sali. Zatrzymała się jeszcze na moment w drzwiach, refleksy światła rozbłysły na jasnych włosach i wmieszała się w tłum.

Gabe kopnął kamień, odwrócił się. Był wściekły na siebie za to, co właśnie zrobił. Zachował się jak ostatnie

bydlę. Ledwie dotknął Piper, wiedział, że popełnia największy błąd w swoim życiu. Od wielu tygodni myśl o pocałunku nie dawała mu spokoju, w końcu nie wytrzymał...

Piper ożyła w jego ramionach w sposób niezwykle i zaskakujący. Mała Piper i tyle namiętności! Niech to diabli. Nie pamiętał, by jakakolwiek kobieta bardziej go podniecała.

Rzuciła mu się w ramiona z takim zapałem, z jakim podchodziła do wszystkiego w życiu. Potrafiła zawrócić człowiekowi w głowie, oszołomić. Dlaczego nie uważał? Nie słuchał rozsądku? Wiedział przecież, jaki słodki będzie ten pocałunek. Widział chyba, że Piper jest bardzo, bardzo kobieca i bardzo seksowna.

Ale w najśmielszych marzeniach nie przypuszczał, że zareaguje tak zmysłowo.

Mało brakowało, a zupełnie straciłby nad sobą kontrolę.

Kogo on chciał oszukać? Stracił kontrolę i wściekł na samego siebie powiedział, że pocałował ją, by dać jej nauczkę! Ha, nauczyciel się znalazł.

Lepiej dla niej, jeśli zostawi ją Charlesowi. Dopilnuje tylko, żeby stanęli przed ołtarzem. Cóż z tego, że Charles jest kobieciarzem? Piper już sobie z nim poradzi.

Jego błąd polegał przede wszystkim na tym, że się wmieszał niepotrzebnie w sprawę. Przez dwadzieścia trzy lata wszystko było proste i jasne. Stosunki klarowne, bratersko-siostrzane. Ten jej pomysł z polowaniem na męża wszystko zepsuł.

Teraz został jak niepyszny na brzegu rzeki, głodny i pełen wyrzutów sumienia.



Piper bez trudu odnalazła Charlesa. Zobaczyła go z daleka: wysoki, elegancki, rozglądał się za nią z nieco pośpenną miną. Wzięła głęboki oddech, przywołała na twarz promienny uśmiech i podeszła do swojego adoratora.

- Przepraszam, że musiałeś tak długo na mnie czekać.

Charles wyraźnie się ucieszył.

- Wszystko w porządku?

- Najzupełniej - zapewniła go.

- Czego chciał Rivers?

Uniosła lekko brew i uśmiechnęła się niby to skromnie.

- Chciał mnie ostrzec przed tobą.

Charles zrobił się czerwony jak burak.

- Nie martw się - szepnęła, poklepując go po ramieniu. - Nie zamierzam słuchać, co ma do powiedzenia na temat mężczyzny, którym się interesuję.

Charles od razu wyjaśniał.

- Zazdrosny?

- Nie, ani trochę - rzuciła pośpiesznie. Miała nadzieję, że nie dostrzegł, że teraz dla odmiany ona stanęła w pąsach. Sama zadawała sobie to pytanie, szukając rozpaczliwie jakichś oznak, które potwierdziłyby jej domysły. Pocałunek był co prawda gorący, ale nie wystarczył, by przekonać Piper o tym, że Gabe mógłby, ewentualnie, odczuwać zazdrość.

Gdyby jej pragnął, miał mnóstwo możliwości, a jednak nigdy nie próbował jej zdobyć.

- Zawsze był taki - powiedziała. - Okropnie męczący.

- To najlepsze chardonnay, jakie tu mają. Świetnie pasuje do kurczaka. - Charles uniósł kieliszek z winem i przyjrzał mu się uważnie.

Zaprosił Piper na kolację do restauracji hotelowej, najlepszej w Wattle Park, jak zapewniał, co niewiele znaczyło, bo jedyną konkurencję stanowiły kawiarnia na głównej ulicy i bar z hamburgerami przy drodze wylotowej z miasteczka.

W ten niedzielny wieczór gości było tyle, że z trudem zdobyli mały stolik dla dwóch osób.

Romantyczną atmosferę podkreślały przyćmione światła, nieskazitelnie białe obrusy, srebra, skrzące się refleksami szkło, świeże kwiaty, grube dywany, tapety o welwetowej fakturze i, oczywiście, świece.

Piper westchnęła z ukontentowaniem. Znakomita oprawa dla jej pierwszej prawdziwej randki.

Na szczęście była na tyle przewidująca, że w zeszłym tygodniu zasięgnęła rady April w kwestii stroju. Bez zachęty ze strony swojej mentorki nie kupiłaby czterech nowych toalet i na pewno nie zdecydowałaby się wystąpić dzisiejszego wieczoru w małej czarnej, doskonale nadającej się na wytworną kolację.

Teraz siedziała przy stoliku, w idealnie dobranej sukni, w doskonałej restauracji i słuchała wytrawnych uwag Charlesa na temat wina. Był tylko jeden mały problem. Właściwie dwa. Padała ze zmęczenia po atrakcjach weekendu i nie miała zielonego pojęcia o winach.

Zwierzyła się Charlesowi ze swojej ignorancji, na co ten uśmiechnął się pobłażliwie.

- Mogę udzielić ci kilku rad, jak cieszyć się tym szlachetnym trunkiem.

Zamiast odpowiedzieć, o zgrozo, ziewnęła.

- Przepraszam, ale weekend był zbyt intensywny, jak

na moją wytrzymałość. Wyścigi, tyle gonitw, tyle nowych imion koni do zapamiętania i obstawienia. - Uśmiechnęła się radośnie. - Oczywiście z chęcią dowiem się czegoś o winach.

Niech to diabli. Znalazł się następny, który chce jej udzielać lekcji. Jeszcze po wczorajszej nie doszła do siebie.

Powinna myśleć o tym, dlaczego znalazła się tutaj z Charlesem. Ma rozkochać go w sobie, to jej zadanie, jej misja. Musi go oczarować, pochlebić mu. Uśmiech raz jeszcze.

- To budujące, spotkać hodowcę bydła, który nie jest kmiotkiem. Mężczyzna powinien mieć obycie w świecie, niezależnie, gdzie mieszka, w mieście czy na wsi.

Charles aż pokraśniał z zadowolenia.

- Co powinnam robić? Najpierw powąchać wino?

Uniósł kieliszek, trzymając go za nóżkę. Długie, szczupłe palce. Zabawne, dopiero teraz to zauważyła.

- Musisz delikatnie zakołysać...

Zakołysała.

- Delikatnie, Piper. Uważaj, żeby nie rozlać.

- Przepraszam. - Pohamowała zbyt szybki ruch dłoni.

- Dlaczego to robimy?

- Żeby wydobyć zapach.

- Rozumiem.

- Przyglądaj się. - Charles podniósł kieliszek do nosa i usatysfakcjonowany pierwszym doznaniem organoleptycznym, upił łyk wina. Potrzymał go przez moment w ustach, po czym wzniosł oczy, poruszył kilka razy wargami, wreszcie pozwolił spłynąć trunkowi do gardła.

Piper zbeształa się w myślach, że rozśmieszyła ją głupawa mina adoratora.

- I jak?

- Ach! - westchnął. - Doskonały szczep. Jasne, zrównoważone, lekko cierpkie, ale...

- Nie! - zawołała w najmniej odpowiednim momencie, bo oto w sali pojawiła się mroczna sylwetka.

- Co się stało? - Charles, wyraźnie zbity z tropu, spojrzął na Piper wpatrzoną gdzieś w przestrzeń, ponad jego ramieniem.

- Pojawił się mój szanowny ochroniarz. - Gabe zajmował właśnie miejsce dwa stoliki od nich.

Charles obejrzał się i westchnął:

- Nie rozumiem tego. Rivers przez cały weekend łązi za tobą krok w krok. Myślałem, że dał mi zielone światło.

- Zielone światło? - zdziwiła się Piper.

Charles nachylił się, położył dłoń na jej dłoni i wyjaśnił konfidencyjnym tonem:

- Jak tylko cię zobaczyłem, poczułem, że chcę... poznać cię bliżej. Zapytałem na wszelki wypadek Gabe'a, czy nie jesteś jego dziewczyną.

- O! - Piper chwyciła kieliszek i upiła potężny haust chardonnay, co nie było zbyt wytworne, po czym uśmiechnęła się promiennie do Charlesa.

- Nie chciałbym zadzierać z Riversem - oznajmił Charles.

- Pff - prychnęła lekceważąco Piper. - Jest zupełnie nieszkodliwy.

- Akurat. - Charles przewrócił oczami. - Nie oszukuj

się Piper. Może i kilka razy dostał po głowie, ale to najtwardszy facet w całej okolicy.

Piper ponownie uniosła kieliszek.

- Nie rozmawiajmy o tym wstrętnym nudziarzu. Opowiedz mi coś jeszcze o winach. - Przywołała na twarz wyraz nadzwyczajnego zainteresowania.

Charles wypiął pierś konesera.

- To kwestia wyrobienia smaku...

Słuchała jednym uchem, jak rozprawia o bukiecie, aromacie, powonieniu i podniebieniu, ale nie mogła nie widzieć siedzącego dwa stoliki dalej i wpatrującego się w nią z ironicznym uśmiechem Gabe'a.

Niech go wszyscy diabli! Niech go piekło pochłonie! Odstawiła swój kieliszek tak zdecydowanym ruchem, że na serwetę prysnęło kilka kropel szlachetnego trunku.

- Przepraszam - bąknęła.

- Wydajesz się bardzo zdenerwowana - zauważył Charles.

- Tak. To zmęczenie. Dopiero teraz czuję, że jestem wykończona. To był naprawdę intensywny weekend.

Charles ujął jej dłoń i ucałował koniuszki palców.

- To był cudowny weekend. Weekend, którego nigdy nie zapomnę - zapewnił żarliwie.

- Och, Charles - mruknęła, ale nie była w stanie wykrzesać z siebie choćby krztyny romantyzmu. Wszystko psuł bałwan, który siedział dwa stoliki dalej i nie przestawał się uśmiechać.

Gabe nie mógł na to spokojnie patrzeć. Zawsze uważał, że Piper ma dość zdrowego rozsądku, tymczasem teraz

zachowywała się tak, jakby naprawdę zamierzała stracić głowę dla tego napuszonego durnia, tego podstępnego lisa... tej tresowanej małpy.

Ani chybi chciał na niej zrobić wrażenie: dobre wino, dobre jedzenie, a potem, zaraz po kolacji... No tak, to oczywiste.

Gabe upił łyk wspaniałego bordeaux i zazgrzytał zębami. Nieznośna sytuacja, po prostu nieznośna. Ten mydłek znowu całuje dłoń Piper, a ona posyła mu rozanielone spojrzenia.

Zaklął pod nosem. Michael nigdy mu nie wybaczy, jeśli on pozwoli Piper paść w ramiona tego manekina, tej nędznej imitacji prawdziwego mężczyzny, tymczasem wszystko wskazywało na to, że pan Charles Kilgour zaciągnie Piper do swojego pokoju zaraz po kolacji, ba, nie czekając nawet, aż kolacja dobiegnie końca.

Należało działać: szybko i zdecydowanie.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Piper starała się nie patrzeć na Gabe'a, acz było to trudne. Jego twarz narzucała się, po prostu wchodziła w oczy, by tak rzec. Piper opuściła wzrok. Była przecież na randce. Pierwszej prawdziwej randce. Wszystko przebiegało doskonale. Nie może dopuścić, żeby Gabe popsuł jej szyki.

Musi uratować Windaroo. A pocałunek Charlesa wczoraj wieczorem... całkiem miły.

- Jesteś zachwycająca - mruknął Charles, nie zauważając najwyraźniej jej rozkojarzenia, po czym przechylił się przez stół i wycisnął całusa na jej wargach.

Ta publiczna demonstracja uczuć stropiła ją nieco, ale reakcja Gabe'a zupełnie wytrąciła z równowagi: wyszczerzył zęby w uśmiechu i podniósł kciuk, jakby chciał powiedzieć, że jej gratuluje.

Litości!

Dość!

Musi położyć kres tym żalonym błazenadom.

- Przepraszam - szepnęła, zerwała się od stolika i ruszyła na Gabe'a.

Nigdy w życiu nie była tak wściekła, jak w tej chwili. Najpierw wściekała się, że Gabe ją pocałował. Potem, że

przestał ją całować. Że wprowadził ją w podniecenie. Że ona go pragnęła, a on jej nie.

Najbardziej złościło ją jednak, że pojawił się w restauracji. Że niszczy jej szanse na zabezpieczenie sobie przyszłość.

- Co ty wyprawiasz?

Uniósł lekko brew.

- Jem kolację - oznajmił, nie kryjąc rozbawienia.

Piper zacisnęła dłonie na oparciu krzesła.

- Akurat tutaj?

- A gdzie? Miałem iść na ociekającego tłuszczem hamburgera? Dbam o żołądek.

- Mówię o stoliku. - Uderzyła dłonią w blat, gdyby jeszcze nie zrozumiał, co miała na myśli. - Siedzisz tutaj i gapisz się na mnie. Na nas.

Gabe rozejrzał się po sali z niewinną miną.

- Kelner mnie tu posadził. Poza tym, chcesz czy nie, wykonuję swoje zadanie.

- Jakie zadanie?

- Nadzoruję polowanie na męża.

Piper wzięła się pod boki i zmierzyła nadzorującego Gabe'a pogardliwym spojrzeniem.

- Powiedziałam ci wczoraj wieczorem, że rezygnuję z twoich usług. Wynos się stąd, Gabe. Już. Niech przyniosą ci kolację do pokoju.

- Wolę zostać tutaj. Chyba wam nie przeszkadzam? Widzę, że świetnie się ze sobą czujecie. Uważaj, bo Charlie straci dobry humor, jeśli pół wieczoru przestoisz przy moim stoliku.

- Robisz z siebie widowisko - syknęła Piper.



- Ja? - zdziwił się Gabe. - To twój adorator robi z siebie widowisko, wsadzając nochal do kieliszka. Wącha wino, jakby to był klej.

Reakcja Piper była natychmiastowa, spontaniczna i zupełnie nieprzewidziana. Chwyciła kieliszek Gabe'a i niewiele myśląc, wylała mu zawartość na głowę.

Zdumiona własnym postępkim wstrzymała oddech. Goście przy sąsiednich stolikach zamilkli. Zapadła martwa cisza. Wszyscy wpatrywali się w oblanego czerwonym winem Gabe'a.

A on siedział skamieniały, ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń.

Pierwszy poruszył się Charles: powoli podniósł się od stolika.

Piper trochę ochłoneła i zrobiło się jej potwornie głupio. Gabe wyglądał jak zboczony krwią. Ludzie patrzyli na nich. Krępująca sytuacja. Jak mogła zachować się tak idiotycznie?

U boku Gabe'a wyrósł kelner.

- Telefon do pana - szepnął, dopiero teraz zauważył co się stało i zawołał pod nosem: - O mój Boże!

Piper zerknęła na Charlesa, szukając u niego pomocy, ale on, błądzący jak ściana, z wytrzeszczonymi oczami, uniósł tylko dłoń, jakby powstrzymywał wampiry, po czym odwrócił się na pięcie i szybko ruszył do bocznego wyjścia.

- Och, och. Biedny Charles musiał przeżyć prawdziwy szok - wycodził przez zęby Gabe.

- Panie Rivers? - zagadnął ponownie kelner. - Telefon do pana.

- Kto dzwoni? - Gabe natychmiast zapomniał, że sływa winem.

- Pani Eleonora Rivers. Chodzi o pana Delaneya.

Dziadek!

Piper stanęło serce.

Gabe zerwał się od stolika.

- Gdzie telefon?

- Pozwoli pan ze mną.

Obydwaj ruszyli pospiesznie w kierunku recepcji, Piper za nimi, przerażona, co dzieje się z dziadkiem.

Boże, nie zabieraj go, modliła się w duchu. Proszę, proszę, nie pozwól mu umrzeć. Jeszcze nie teraz.

Gabe dobiegł do telefonu, chwycił słuchawkę. Piper słyszała głos Eleonory, ale nie rozumiała słów. Z bijącym sercem patrzyła na ściągniętą troską twarz Gabe'a. Słuchał uważnie, kiwał głową, w końcu powiedział:

- Dobrze, dziękuję, mam. Zaraz wyjeżdżamy.

Nie!

Gabe odłożył słuchawkę i odwrócił się powoli do Piper.

- Michael miał następny atak serca. Przed chwilą karetka zabrała go do Mullinjim Hospital.

Piper zasłoniła usta dłońmi, skinęła głową. Gorące łzy sływały jej po policzkach.

- Jedziemy tam natychmiast. - Gabe ujął ją pod łokieć i zwrócił się do recepcjonistki: - Proszę przygotować racheunek. Panna O'Malley i ja wyjeżdżamy.

- Twoja matka mówiła, w jakim był stanie, kiedy go zabierali? - zapytała Piper, gdy mknęli już autostradą.

- Nie, ale była bardzo zmartwiona. - Gabe uderzył

otwartą dłońią w kierownicę. - Gdybym miał tu helikopter! Bylibyśmy na miejscu znacznie szybciej.

Jazda, nawet przy przekraczaniu dozwolonej szybkości, musiała zająć około trzech godzin. Trzy długie godziny!

Piper zerknęła na Gabe'a.

- Od wypadku niechętnie wsiadasz do samochodu?

- Nie w tym rzecz. Denerwuję się, że droga zabierze nam tyle czasu.

Nieszczęście sprawiło, że Gabe przestał się wygłupiać, znowu był tym samym starym, wiernym przyjacielem, na którym mogła polegać.

- Miałam zaledwie rok, kiedy dziadek musiał się mną zająć - szepnęła Piper.

Gabe uśmiechnął się.

- Kiedy się urodziłaś, Michael zupełnie oszalał na twoim punkcie. Pamiętam, jak przyjechał do nas z wiadomością, że Bella urodziła córeczkę. Był tak podekscytowany, że poczęstował mnie papierosem, chociaż miałem raptem sześć lat.

- Zapaliłeś? - zapytała zaciekawiona Piper, uśmiechając się przez łyzy.

- Pociągnąłem dwa razy i porzygałem się jak kot. Nigdy już nie sięgnąłem po cygaro.

- Powiedz mi, że on z tego wyjdzie, Gabe.

- Cokolwiek się stanie, z Michaelem będzie wszystko w porządku.

Niezupełnie takiej odpowiedzi oczekiwała, ale Gabe miał rację. Stanął jej przed oczami cmentarzyk w Mullin-jim, z grobami Mary Delaney, jej babki, i Belli i Petera O'Malleyów, jej rodziców.

Na myśl, że Michael może wkrótce do nich dołączyć, znowu popłynęły jej po policzkach łzy. Przeszedł ją dreszcz, potarła dłońmi ramiona i dopiero teraz przypomniała sobie, że jest w małej czarnej, zupełnie niestosownej na tę okazję.

Suknia, którą założyła na pierwszą randkę.

Incydent w restauracji...

Piper otarła łzy.

- Nie przeprosiłam cię jeszcze za to wino.

Gabe wzruszył ramionami.

- Zasłużyłem sobie.

Uważa, że sobie zasłużył? Dziwne, jak szybko zmieniają się odczucia. Jeszcze godzinę temu wrzała wściekłością, a teraz...

Jak to możliwe, że ten sam człowiek potrafi ją doprowadzić do białej furii, a potem wspierać i pocieszać w najpiękniejszy sposób?

Była mu naprawdę wdzięczna, że jest w tej chwili przy niej, niemniej...

- Naśmiewałeś się z Charlesa za jego plecami. To było bardzo niegrzeczne.

- Przepraszam.

Zabrzmiało to całkiem szczerze i przekonująco, ale Piper miała wrażenie, że widzi lekki uśmieszek na twarzy Gabe'a

- Przeprosiliśmy się nawzajem i jesteśmy kwita - stwierdził Gabe i zapytał po chwili: - Naprawdę podoba ci się ten facet?

Chciała już odpowiedzieć, ale dała sobie spokój. Nie warto o nim wspominać. Uciekł z restauracji, tym samym wypadając z gry.

Poza tym teraz ważny był tylko Michael i jego stan, na pewno nie Charles. Dziadkowi Kilgour z pewnością by się nie spodobał.

Gdyby dziadek uwierzył, że sama jest w stanie poprowadzić Windaroo, nie musiałyby urządzać polowania na męża. Mężczyźni! Same z nimi kłopoty.

Wczorajszy pocałunek był całkiem miły, ale dzisiaj przy kolacji Charles okazał się po prostu nadętym nudziarzem. I tchórzem.

- Piper?
- Przepraszam, mówiłeś coś?
- Pytałem, czy ten Kilgour naprawdę ci się podoba.

Nie może dać Gabe'owi tej satysfakcji i powiedzieć, że Charles ją rozczarował.

- Ma wiele zalet - odparła enigmatycznie.
- To brzmi, jakbyś wystawiała mu referencje. Jako ocena ewentualnego kandydata na męża brzmi dość blado.
- Jest bardzo słodki.
- , Słodki?
- Tak. - Słyszała przecież, że dziewczyny z Mullinjim tak mówią o swoich chłopcach.

— Uważasz, że to wystarczające kwalifikacje, żeby zarządzać Windaroo?

- Pewnie. Słodki hodowca byłła. Brzmi świetnie.

Rozdzwonił się telefon komórkowy i Gabe zjechał na pobocze, żeby odebrać.

Twarz mu się tak zmieniła, że Piper wiedziała już, co usłyszał. Powoli odłożył aparat.

- On... umarł?
- Tak, kochanie.

Piper poczuła, że zapada się w mroczną otchłań, z gardła wydarł się głuchy szloch. Gabe objął ją i przytulił.

- Tak mi przykro - szepnął, tuląc ją do piersi.

Tulił ją i kołysał, a Piper płakała.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Po pogrzebie wszyscy żałobnicy zebrali się w sali parafialnej. Piper ledwie trzymała się na nogach. Stała w kącie ze szklanką mrożonej herbaty w dłoni, przyjmowała kolejne kondolencje i miała wrażenie, że wszystko dzieje się poza nią.

- Piper?

Odwróciła głowę i zobaczyła Jima Holmesa, doradcę prawnego dziadka.

- Muszę z tobą koniecznie porozmawiać, im szybciej, tym lepiej. Chodzi o testament twojego dziadka.

- Oczywiście. - Serce zabiło jej gwałtownie. Dotąd wolała nie myśleć o tym, co stanie się z Windaroo. Dziadek za nic nie chciał, by sama gospodarowała na farmie. Bardzo prawdopodobne, że ją teraz straci.

- Możesz być jutro rano w moim biurze? - zapytał Jim. - Powiedzmy o dziewiątej.

- Tak. - Przygryzła wargę. Tyle pytań cisnęło się jej na usta, pytań, z którymi musi się wstrzymać do następnego dnia. Kolejna nieprzespana noc.

Kiedy Jim odszedł, ktoś pociągnął ją za warkocz. Odwróciła się i pojaśniała na widok Gabe'a.

- Wiem, czego ci trzeba.

- Czego?

- Wędkowania nad rzeką.
  - Dobrze! - zgodziła się radośnie. - Pójdziemy na ryby. - Jesteś aniołem, Gabrielu. - Niebiosa świadkiem, że od lat nie wypowiadała tego starego żartu.
  - Wezmę patelnię. Usmażymy sobie, co złowimy.
- Uśmiechnęła się szeroko.
- Grunt to optymizm.

Ryba nie brała.

- Równie dobrze moglibyśmy łapać na wędkę bunyipy. - Gabe zostawił wędkę wbity w piach i wyciągnął się na trawie.

Piper uśmiechnęła się pod nosem.

- Wiem, że bunyipy istnieją tylko w legendach Aborygenów, ale zawsze byłam strasznie zazdrosna, jak zśliście z bratem „łowić bunyipy”. Co naprawdę wtedy robiliście?

- Byłaś za smarkata, nie mogliśmy zabierać cię ze sobą. Poza tym nigdy nie lubiłaś piwa.

- Co piwo ma wspólnego z bunyipami?

Gabe odwrócił się na bok i oparł na łokciu.

- To męski sekret, ale wyjątkowo ci go zdradzę.
- Jestem zaszczyciona.
- Otóż bunyipy jakoby lubią grzane piwo, więc łowi się je na grzane piwo, a kiedy bunyipy nie biorą i piwo się wystudzi na dnie rzeki, trzeba je wyjąć i przygotować nowego grzańca.

- A to schłodzone wypić?

-- A schłodzone wypić.

Piper parsknęła śmiechem.



- I dlatego wracaliście z polowań na bunyipy nagrza-  
ni? To bez sensu.

Gabe zapatrzył się tęsknie na rzekę.

- Całe lata nie łowiłem bunyipów.

- Bo zamiast mieszkać w buszu, zdobywałeś prze-  
stworza, kapitanie Rivers.

Kapitan Rivers wyjął z chlebaka kiełbasę.

- Wziąłem na wszelki wypadek. Może upieczesz?

Piper nie jadła cały dzień i teraz na myśl o pieczonej  
kiełbasie ślinka jej pociekła.

Podnieśli się raźnie i zaczęli zbierać gałęzie na ognisko.  
Ledwie je zapalili, zapadła czarna tropikalna noc.

- Zapomniałam już, jakie pyszne są kiełbaski pieczone  
na ognisku - westchnęła Piper, kiedy skończyli ucztować.

- Nie ma nic lepszego, co?

- Chyba że mój placek z rodzynkami polany syropem  
klonowym. Pamiętasz jeszcze jego smak?

- Uhm - przytaknął Gabe, przełykając ostatni kęs. -  
Zawsze uważałem, że masz talent kulinarny.

Oboje starali się wrócić do dawnych przyjacielskich  
relacji, ale nie było to łatwe, w każdym razie dla Piper.  
Zbyt dobrze pamiętała tamten pocałunek, zamykające ją  
w objęciach ramiona Gabe'a. Jego usta. I własną reakcją,  
żar przenikający całe ciało. Ale też zachowanie Gabe'a  
zaraz potem. Bolesne upokorzenie...

- Chcesz, żebym ściągnął tu Charlesa Kilgoura? - za-  
gadnął raptem Gabe, wyrywając ją z zamyślenia.

Omam się nie udławiła na te słowa.

- Skąd ta propozycja?

Gabe wbił wzrok w płomień.

- Chciałbym się jakoś zrehabilitować. Napsułem ci krwi w ostatni weekend. Kto wie, czy nie pokrzyżowałem syków. Mogłem wypłoszyć zalotnika.

Piper nie była w stanie nic powiedzieć. Zmieszana, zaczęła rysować patykiem kółka na piasku.

- Nie powinienem był ingerować.
- Nie powinienes.
- Chciałbym naprawić, co popsułem.

Wspaniałe!

Ale z niej idiotka. Przed chwilą marzyła, żeby pocałować się znowu z Gabe'em, a on teraz spokojnie proponuje, że sprowadzi Charlesa.

Ciekawe, jak by zareagował, gdyby mu powiedziała, że nie spojrzała by nawet na Charlesa, gdyby...

A niech to diabli! Po co się okłamywać? Jest zakochana w Gabie. Po same uszy, beznadziejnie zakochana. Idiotka. O niczym innym nie jest w stanie myśleć. Zamknęła oczy, próbując powstrzymać łzy.

Gabe przysunął się do niej, ujął pod brodę.

- Piper? Co się dzieje?
- Nic.

Nie mogła otworzyć oczu, nie mogła pozwolić, by wyczytał w nich jej sekret. Serce jej waliło, płonęła. Tak bardzo chciała, żeby znowu ją pocałował.

- Jeśli to z powodu Charlesa, to przepraszam. Nie miałem prawa ingerować w twoje sprawy.

Dlaczego uparł się mówić o Charlesie?

- Nic się nie stało! - zawołała.
- Jesteś smutna. Wiem, okropnie się zachowałem, ale cały czas mi się wydaje, że muszę cię chronić, opiekować

się tobą. - Pogłaskał ją po policzku i dopiero teraz zorientował się, że Piper płacze. - Naprawdę jesteś smutna.

Pokręciła tylko głową, nie była w stanie wykrztusić słowa. Czuła, że jeszcze chwila, a rozbeczy się w głos, jak dziecko.

- Jeśli chcesz, zostanę z tobą. Nie muszę zaraz wracać do Sydney.

Gwałtownie otworzyła oczy.

- Do Sydney?

- Do Sydney. W jakimś momencie będę musiał pomyśleć o swojej przyszłości, jeśli jednak nadal zamierzasz polować na męża, służę moim wsparciem. Mogę jeździć z tobą na przyjęcia i przyrzekam, że nie będę się już wtrącał.

Pociągnęła nosem i otarła łzy.

Dlaczego tak się uparł wyswatać ją? Zdawałoby się, że zna ją tak dobrze, a jeśli chodzi o jej najbardziej skryte, najgorętsze pragnienia, jest zupełnie ślepy.

- Nie zamierzam jeździć na żadne przyjęcia! - krzyknęła, podnosząc się. - Mam w nosie małżeństwo. Mam w nosie twoją pomoc.

- Dobrze, dobrze. Zrozumiałem. — Gabe też się zerwał na równe nogi, wyciągnął rękę.

- Nie dotykaj mnie! - Uchyliła się gwałtownie. - Mam dość mężczyzn. - Cofnęła się, potknęła i zachwiała. Gabe chwycił ją w ramiona.

Chyba chce mnie pocałować, przemknęło jej przez głowę.

Idź za głosem serca, tak zawsze mówił dziadek.

Może to ona powinna pocałować Gabe'a?

Za późno, już wypuścił ją z objęć, opuścił ręce, dotknął lekko jej palców.

- Miałaś ciężki dzień, wracaj do domu.
- Tak - westchnęła. Czuła się pusta i obolała. Nic już nie rozumiała. - Jutro rano mam się spotkać z Jimem Holmesem. Odczyta mi testament dziadka.
- Odezwij się, jeśli tylko będziesz potrzebowała mojej pomocy. - Gabe odwrócił się i zaczął zasypywać ognisko.

Gabe był w gabinecie. Rozmawiał właśnie z Sydney, kiedy usłyszał trzaśnięcie drzwiczek samochodowych. Zerknął w okno, ciekaw, kto przyjechał.

Piper.

Musiała przyjechać prosto z biura Jima i nie przywoziła dobrych wieści: jej mina nie pozostawiała co do tego żadnych wątpliwości.

Momentalnie skończył rozmowę.

- Przepraszam, mam tu pilną sprawę, zadzwonię później
- rzucił do słuchawki i wybiegł na spotkanie Piper.

Czerwona na twarzy zatrzymała się przed gankiem, wzięła pod boki i rzuciła wściekle:

- Nie uwierzysz, co dziadek zrobił!
- Może jednak wejdiesz?
- Nie chcę wciągać w to całej twojej rodziny - prychnęła zdenerwowana.

- Rodzice i Jonno pojechali do Charters Towers. W domu nie mają nikogo.

Wahała się chwilę, w końcu wzruszyła ramionami.

- Dobrze.

Gabe zaprowadził ją do salonu, posadził w fotelu, sam przysiadł na kanapie.

- Mów wreszcie - zachęcił.

- Mówię. Windaroo przechodzi w ręce Karla Findleya
- wyrzuciła z siebie.
- Findleya? Tego złodzieja bydła?
- Owszem.

Nic dziwnego, że Piper była rozwścieczona. Jemu też niewiele brakowało.

- Michael nie wiedział, że to Findley podkrada wam bydło?

- Nie mógł nie wiedzieć. Ciagle o tym bębniłam, ale dziadek zażyczył sobie, żeby wystawić farmę na aukcję, bo wiedział, że Findley da najwyższą cenę.

- Chciał cię w ten sposób zabezpieczyć?

- Ładne mi zabezpieczenie. Wiesz, jak się będę czuła, gdy Windaroo przejdzie w ręce tego drania Findleya? Najchętniej w ogóle nie sprzedawałabym Windaroo, a już tym bardziej Findleyowi.

Gabe pokręcił głową.

- Nic się nie da zrobić?

Piper poruszyła się niespokojnie i zaczęła bębnić w oparcie fotela.

- Jest pewien warunek.

- Jaki?

Piper wtuliła się w fotel, spuściła oczy i powiedziała:

- Jeśli w ciągu miesiąca od śmierci dziadka wyjdę za mąż, nie będę musiała sprzedawać Windaroo.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Jak dziadek mógł mi zrobić coś takiego - złościła się Piper. - Doskonale wiedział, że nie mam najmniejszych szans wyjść za mąż w ciągu miesiąca.

Gabe odchrząknął.

- Michael nie chciał zrzucić na twoje barki odpowiedzialności za farmę.

- Przez kilka ostatnich lat praktycznie sama prowadziłam gospodarstwo. Wszystko było na mojej głowie. Zdobylam trochę doświadczenia. Farma mogłaby oczywiście lepiej funkcjonować, ale generalnie nie jest źle. Jakoś sobie radzę.

Zapewne potrafiłaby przekształcić Windaroo w kwitnące gospodarstwo, gdyby nie musiała troszczyć się o dziadka i jego zdrowie.

- Michael wspominał mi kiedyś coś na temat zadłużenia.

- Owszem. - Piper westchnęła głośno. - Są zaległe podatki i część kredytu, który dziadek wziął kilka lat temu, ale nie stanowią aż takiego obciążenia, żeby sprzedawać Windaroo Findleyowi. - Uderzyła dłonią w oparcie fotela. - Niedobrze robi mi się na myśl, że ten drań położy łapsko na mojej ziemi! Przejmie mój dom!

Gabe ze smętną miną wpatrywał się w dywan.

- Mogłabyś wnieść do sądu sprawę o podważenie testamentu, ale kosztowałyby cię to mnóstwo pieniędzy i ciągnęło się miesiącami, jeśli nie latami.

- Jim Holmes twierdzi, że w obecnej sytuacji nie stać mnie na to.

- Zatem musisz wyjść za mąż.

Piper parsknęła, wyraźnie zdegustowana.

- Mowy nie ma. Pożegnałam się z tą myślą. Nie mam zamiaru przez najbliższy miesiąc uganiać się po buszu w poszukiwaniu męża.

Przez twarz Gabe'a przemknął uśmiech.

- Kopciuszek z interioru w poszukiwaniu swojego księcia.

- Z butem do jazdy konnej zamiast pantofelka. Dziękuję bardzo.

Gabe podniósł się gwałtownie i przeszedł do okna. Stał tak przez chwilę, odwrócony do Piper plecami, i wpatrywał się padok.

- To już wolę narazić się na koszty i wbrew radom Jima wnieść sprawę do sądu.

Gabe stał bez ruchu, z rękami w kieszeniach dżinsów, pogrążony w myślach, jakby nie słyszał jej słów.

- Gabe?

Odwrócił się powoli i spojrzał na nią tak jakoś przenikliwie, że Piper poruszyła się niespokojnie w fotelu. Próbowwała się uśmiechnąć, ale wypadło to blado i nieprzekonująco. Chyba przesadziła. Znowu obarcza Gabe'a swoimi problemami, jakby nie miał dość własnych. Przyjechał do domu, żeby się pozbierać, odzyskać siły. Nie dalej jak wczoraj powiedział jej, że musi pomyśleć o po-

wrocie do Sydney. Tam była jego przyszłość, jego życie... i jego kobiety.

Piper wstała.

- Przepraszam, że zawracam ci głowę. Nie powinnam była tutaj przyjeżdżać.

Po prostu cię kocham. Cały czas o tobie myślę, więc wsiadłam do samochodu i odruchowo...

Nachyliła się po leżącą obok fotela torbę.

- Możesz wyjść za mnie.

Pasek torby wysunął się z jej pozbawionych nagłe czucia palców. Kolana zrobiły się miękkie. Powoli podniosła głowę.

- Co powiedziałaś? - zapytała słabym głosem.

Gabe uśmiechnął się krzywo.

- Zaproponowałem ci małżeństwo, Piper.

O Chryste. A więc nie przesłyszała się.

Miała ochotę zawołać na cały głos: tak, tak, tak. Tak, Gabe.

Rzucić mu się na szyję z okrzykiem: wyjdę za ciebie.

Zdrowy rozsądek wziął górę. Od kilku tygodni trwała mu głowę, że musi wyjść za męża. Dawno mógł się jej oświadczyć, gdyby naprawdę chciał. Cały Gabe. Zawsze gotów do pomocy. Nie zaproponował jej małżeństwa dlatego, że zakochał się w niej nieprzypadkowo. Uczynił to, bo wiedział, ile znaczy dla niej Windaroo.

Obudź się, Piper. Nie potrzebujesz jego litości.

On stara się chronić cię, jak zawsze.

Jakie to żenujące!

- Dziękuję, ale... - Jezu, naprawdę musi to powiedzieć? - Nie.



Dlaczego on jest tak zabójczo przystojny? Dlaczego musi tak kochać wszystko, co jest nim, każdą cząstkę? Jego czarne, krótko ostrzyżone włosy. Zmarszczki wokół oczu. Małą bliznę nad prawą brwią...

Zawsze odgrywał bardzo ważną rolę w jej życiu, tym życiu, które teraz rozsypywało się na jej oczach.

Nie śmiała nawet myśleć o tym, że mogłaby zostać jej mężem. Może powinna jednak zmienić zdanie i przyjąć ten niezwykły dar niebios?

Gdyby tylko ją kochał.

Gdyby tylko nie proponował małżeństwa w imię przyjacielskiej pomocy.

Gdyby wyszła za niego, codziennie umierałaby ze zgryzoty, że Gabe nie odwzajemnia jej miłości.

- Nie przemyślałeś swojej propozycji. Wcale nie masz zamiaru żenić się ze mną. - Nawet jej nie dotknął, słowem nie wspomniał o uczuciach.

- Ja nie żartuję, Piper.

- To byłby wielki błąd.

!•- Dlaczego?

- Patrzyłeś, jak robię z siebie idiotkę, polując na męża i nie zająknąłeś się, że mogłabym wyjść za ciebie, prawda?

- Prawda - przytaknął Gabe z niejakim zdziwieniem.

- Dlaczego teraz proponujesz mi małżeństwo? - Odwróciła się szybko, żeby nie dojrzał łez w jej oczach.

- Niepotrzebnie pytam. Wiem dlaczego.

Usłyszała kroki. Wstrzymała oddech, czekając, aż ją obejmie. Nie objął.

- Trzeba rozwiązać jakoś ten problem.

Piper jęknęła cicho. Cóż za szlachetność, jakie poczucie obowiązku.

- Nie chcę wychodzić za mąż tylko po to, żeby „rozwiązać problem” - ostatnie słowa niemal wysyczała.

- Nie miałem nic złego na myśli. Trzeźwo patrząc...  
Piper odwróciła się gwałtownie, podniosła dłoń.

- Nie mów nic więcej, Gabe. Pogarszasz tylko sprawę. Wiem, że chcesz mi pomóc, ale jakoś sobie poradzę.

- Tyle na ciebie spadło.... Straciłaś Michaela, teraz Windaroo.

No proszę. Sam przyznaje, że robi to z litości.

- Powiedziałeś mi kiedyś, że nie powinnam rzucać się w małżeństwo z desperacji. Miałeś rację. - Uniosła hardo głowę. - Wolę stracić Windaroo, niż przyjąć twoją propozycję.

Raz jeszcze schyliła się po torbę.

- Pozwól, że tym razem ja udzielę rady tobie, kapitanie Rivers - powiedziała po chwili, walcząc ze łzami. - Być może jesteś ekspertem, jeśli chodzi o flirtowanie, całowanie i seks, ale o oświadczeniach nie masz zielonego pojęcia. Żadna szanująca się dziewczyna nie przyjmie propozycji składanej w takiej formie, w jakiej właśnie byłeś łaskaw to uczynić. - I Piper wybiegła z pokoju, zanim miała okazję zrobić z siebie patentowaną idiotkę i wybuchnąć płaczem.

Gabe zawołał ją, raz, mówiąc ściśle, ale nie odwróciła się nawet.

Wybiegła z domu. W głębi skołatanego serduszka miała nadzieję, że on wybiegnie za nią, że krzyknie: „Wróć, kocham cię”. Nie wybiegł, nie krzyknął.

Wskoczyła do samochodu i odjechała z piskiem opon.

Eleonora zaczynała właśnie ciasto na chleb. Na odgłos kroków podniosła głowę i uśmiechnęła się szeroko. Uśmiech zniknął z jej twarzy, kiedy zobaczyła torbę podróżną na ramieniu syna.

- Wyjeżdżasz?

- Tak. Muszę wracać do Sydney, zająć się swoimi sprawami.

Eleonora pokręciła głową.

- Myślałam, że zajmujesz się swoimi sprawami tutaj.

- Tutaj nie mam już nic do roboty.

- Rozumiem. - Powiedziała to tonem, który wskazywał, że rozumiała aż za dużo. - Rozmawiałeś z ojcem o swoich zamiarach?

- Rozmawiałem z nim o kupnie helikoptera. Chciałbym założyć własną firmę. Spęd byłła śmigłowcem, mówiąc krótko.

- Zamieszkałbyś w Edenvale?

- Może. - Gabe podrapał się w kark. - Chociaż wygodniej byłoby prowadzić interesy z Charters Towers albo z Townsville. Muszę się jeszcze zastanowić.

Matka przyglądała mu się przez chwilę, po czym podeszła do zlewozmywaka, by umyć ręce.

- Krótki wyjazd dobrze ci zrobi.

- Cieszę się, że tak myślisz.

- Będziesz mógł na wiele spraw spojrzeć chłodnym okiem, z dystansem.

Gabe zmarszczył czoło.

- O czym mówisz? Na co miałbym spojrzeć chłodnym okiem? Z dystansem?

Eleonora westchnęła, jakby miała do czynienia z niezbyt rozgarniętym dzieckiem.

- Jesteś za stary, żebym cię pouczała, ale jeśli idzie o Piper, zachowujesz się jak sfrustrowany kogut.

- Kogut? - zachnął się Gabe.

- Owszem, kochanie.

- I to mówi moja rodzona matka. Własnym uszom po prostu nie wierzę.

Eleonora przyjęła zgorszenie syna z kamiennym spokojem.

- Zwykle nie wtrącam się w twoje układy z kobietami.

- Nie ma żadnego układu. I wcale nie jestem kogutem.

Sfrustrowanym na dodatek.

I kogo ty chcesz o tym przekonać?

Matki nie przekonał na pewno, bo lekko uniosła brwi.

- Powiedziałam już, wyjazd do Sydney dobrze ci zrobi. Spojrzysz na sprawy z lotu ptaka, zamiast grzebać pazurem w ziemi jak kurak. Może wreszcie ustalisz sam ze sobą, czego naprawdę chcesz.

- Dziękuję za wnikliwą analizę mojego wnętrza, mamo. - Podeszedł do Eleonory i pocałował ją w policzek, po czym dodał w nieoczekiwanym przypląwywie szczerości: - Prawdę powiedziawszy, czuję się bardziej jak miotełka z piór niż kogut.

- Och, kochanie. - Matka objęła go serdecznie. - Uporządkuj swoje sprawy i wracaj tak szybko, jak tylko będziesz mógł.

Tygodnie wlokły się w nieskończoność. Po rozmowach w banku i konsultacjach z prawnikami Piper upewniła się

tylko w tym, co wiedziała od początku, że nie będzie jej stać na sądowe podważenie testamentu. Cztery długie tygodnie pakowania rzeczy, przygotowywania się do sprzedaży Windaroo, żałoby po dziadku, poszukiwania dachu nad głową dla Roya... i tęsknoty za Gabe'em.

W przeddzień aukcji, jak każdego popołudnia, zasiadła z Royem do herbaty. Obydwoje lubili i celebrowali ten rytuał.

- Chudniesz w oczach, maleńka - powiedział, przesuwając w jej stronę talerz z biszkoptami. - Zjedz coś, zrób to dla mnie.

Wzięła biszkopt do ręki i zaraz odłożyła z powrotem, pewna, że nie przełknie ani kęsa.

- Nie mogę, Roy.

Roy zachmurzył się.

- Martwię się o ciebie, Piper.

- Wszystko będzie dobrze - uspokoiła go. - Chciałabym tylko mieć jutrzejszy dzień za sobą. - Odstawiła gwałtownie filiżankę. - Och, Roy. Dlaczego dziadek nam to zrobił? Dlaczego Findley ma przejąć Windaroo? Dlaczego musimy się stąd wynieść? Nie chciał chyba, żebyś zamieszkał w domu opieki. Nie uwierzę w to.

- Nie chciał.

Roy powiedział to z taką pewnością w głosie, że Piper uniosła głowę.

- Co masz na myśli?

- Michael wiedział, że jeśli zostaniesz tutaj, pozwolisz zostać i mnie.

- Ale zrobił wszystko, żebym nie mogła zostać.

Roy oparł ręce na stole, nachylił się do Piper i szepnął,

jakby zawierzał jej tajemnicę i bał się, że ktoś niepowołany może usłyszeć jego słowa:

- Miał nadzieję, że wyjdiesz za męża. Chciał tego.
- Jakim sposobem miałabym tego dokonać? Powiesić ogłoszenie na bramie?
- Po mojemu to myślał, że wyjdiesz za Gabe'a.

Piper poczuła pulsujący ból w skroniach, zimny pot wystąpił jej na czoło.

- Żartujesz.
- Jak pragnę zdrowia. Mówiłem mu, że może niekoniecznie, a on na to, że jesteście dla siebie stworzeni, tylko sami jeszcze o tym nie wiecie.
- Kiedy ci tak powiedział?
- A kiedy Gabe zapraszał cię do Wattle Park.

Piper łzy napłynęły do oczu.

- Dlaczego nie porozmawiał ze mną? Wy tłumaczyłabym mu.

Roy wzruszył ramionami.

- Wszystko sobie zaplanował. Nawet gdybyście nie pobrali się przed jego śmiercią, był pewien, że Gabe poprosi cię o rękę, jak tylko dowie się o warunkach testamentu.

- Och.

Człowiek, którego kochała, oświadczył się jej, a ona powiedziała „nie”. Dziadek uznałby ją zapewne za wariatkę. Mężczyźni są beznadziejni. Beznadziejnie tępi. Dlaczego taki nie potrafi zrozumieć, że małżeństwo to coś więcej niż umowa dotycząca ziemi.

Na Boga, to Michael mówił jej, że przy wyborze męża ma się kierować sercem, a nie rozumem. To samo powinno

dotyczyć Gabe'a. Jeśli mężczyzna prosi kobietę o rękę, powinien robić to z miłości, a nie z litości.

Wstała, zebrała filiżanki ze stołu, umyła je, a potem przez chwilę patrzyła, jak woda znika w odpływie zlewozmywaka. Ona też miała wrażenie, że znika w czarnej czeluści, odpływa bezwolnie w podziemne labirynty. Tak czuła i tak widziała swoją przyszłość - czarno.

Były, oczywiście, i lepsze momenty. Wtedy układała plany, mówiła sobie, że zacznie wszystko od początku. Za pieniądze z Windaroo będzie mogła kupić inną farmę, mniejszą, skromniejszą, w granicach jej możliwości. I znowu będzie hodować bydło. Zapalała się do tego pomysłu, czekała niecierpliwie, kiedy będzie mogła go zrealizować, ale dzisiaj nic jej nie cieszyło. Traciła Windaroo, traciła wszystko, co kochała...

Odszedł dziadek, przepadło Windaroo, straciła Gabe'a. Nic nie zostało.

- Co to za hałas? - Pytanie Roya wyrwało ją z ponurych rozmyślań.

Wzruszyła ramionami. Ona nic nie słyszała poza własną rozpacz. Odwiesiła ścierkę, przechyliła głowę i zaczęła nasłuchiwać.

Pośród szumu wiatru wyłowiła zrazu ledwie słyszalny, z każdą chwilą coraz wyraźniejszy rytmiczny, terkotliwy odgłos.

- To chyba helikopter.

Roy skinął głową.

- Pewnie spędzał bydło z pastwisk. - Z trudem podniósł się zza stołu. Artretyzm coraz bardziej dawał mu się

we znaki. - Pójdę już, Piper. Dzięki za herbatę. I głowa do góry. Nie zamartwiaj się.

Piper poklepała go po ramieniu.

- Jakoś dam sobie radę.

Roy, wychodząc, zerknął w okno.

- Leci tutaj.

Rzeczywiście odgłos stawał się coraz donośniejszy, przechodził w pulsujący huk. Piper podniosła głowę; helikopter był już nad padokiem, schodził do lądowania. Kolana się pod nią ugięły z przejęcia. Oparła się o zlew, żeby nie upaść.

- Ciekawe, kto to - odezwał się Roy. - Słuch jeszcze mi dopisuje, ale ze wzrokiem kiepsko.

- Nie wiem - szepnęła Piper, nie dowierając własnym przecuciom. Zdążyła tylko dostrzec, że pilot ma ciemne włosy, i helikopter zniknął za szopą na traktory.

- Może Gabe - powiedział Roy i oczy mu zabłyśły.

- Niemożliwe. Gabe jest w Sydney - upierała się jeszcze, choć z trudem panowała nad podnieceniem.

- Na co czekasz - ponaglił ją Roy. - Biegnij, zobacz, kto to.

Wyszła na werandę na miękkich nogach. Jeśli to rzeczywiście Gabe, co go sprowadza do Windaroo?

Nie wiedziała, jak pokonała drogę do bramy padoku. Helikopter stał na samym środku placu, śmigła obracały się coraz wolniej. Zobaczyła wysiadającego z kabiny pilota. Szczupły, wysoki mężczyzna w dżinsach. Gabe.

Stanął na ziemi, uśmiechnął się szeroko i pomachał do niej. Wrócił.

Po co?



Dlaczego właśnie dzisiaj?

Oszołomiona nie wiedziała, czy biec mu na spotkanie, czy odwrócić się i uciekać, gdzie oczy poniosą. Niech to diabli, była nieuczesa, w starych, połatanych džinsach i spranym różowym T-shircie.

Dłonie drżały jej tak strasznie, że z trudem, dopiero przy którejś próbie udało się jej otworzyć bramę prowadzącą na padok.

Ledwie zdążyła zrobić kilka kroków, Gabe był już koło niej. Zatrzymali się oboje, kiedy dzielił ich od siebie może metr.

- Witaj - powiedział cicho.
- Cześć.

Co on tu robi? Wrócił przecież do Sydney. Po co przyjechał?

- Co u ciebie? - Zwykłe pytanie i spojrzenie, z którego nic nie dało się wyczytać.

Piper wzruszyła ramionami.

- Dziękuję. Dużo zajęć.

Na twarzy Gabe'a pojawił się uśmiešek.

- Pomyślałem, że wpadnę, pochwalę się nową zabawką.
- Wskazał głową helikopter.
- Śliczny.
- Chcę otworzyć firmę. Będę spędzał bydło.
- Gdzie chcesz otworzyć firmę?
- Gdzieś tutaj, w okolicy.

Pod Piper ziemia się rozstała. Ona wyjeżdża, Gabe wraca. To się nazywa ironia losu.

- Chcesz się przelecieć?

Zwlekała z odpowiedzią.

- Jestem dobrym pilotem - zapewnił Gabe z uśmiechem i wyciągnął dłoń, ale Piper stała bez ruchu. - Chodź, Piper - zachęcił.

Jaka ona jest słaba. Wystarczyło, że Gabe się uśmiechnął, a gotowa była o wszystkim zapomnieć, jakby nic się nie wydarzyło. Lepsze to niż samotność ostatnich tygodni, pomyślała markotnie. Poza tym, tyle razy próbowała sobie wyobrazić Gabe'a w helikopterze, teraz miała okazję. Nie potrafiła oprzeć się pokusie. Ruszyła za nim w kierunku maszyny.

Kiedy już zapięła pasy, rozejrzała się z nabożnym podziwem po wnętrzu kabiny... i wydała zdławiony okrzyk zdumienia.

Tuż nad zegarami dojrzała srebrnego orła. Dała go Gabe'owi na osiemnaste urodziny, tuż przed jego wstąpieniem do armii.

- Nadal go masz.

Gabe dotknął skrzydeł ptaka.

- To mój talizman. Moi chłopcy nigdzie by nie polecili bez niej.

- Bez niej? Talizmany są rodzaju żeńskiego?

- Ten tak. My... - Gabe lekko się zaczerwienił. - Eee... chłopcy nazwali go twoim imieniem, Piper.

- Och.

Gabe latał z jej orłem. To jest orlicą. Przez te wszystkie lata towarzyszyła mu w każdym locie. Cóż, to nie musiało nic znaczyć, a jednak znaczyło. Bardzo dużo znaczyło.

- Gotowa do startu?

- Gotowa, kapitanie Rivers - wykrztusiła przez ściśnięte wzruszeniem gardło.

Kiedy już wzniesli się na wysokość lotu, spojrzała w dół na Windaroo. Jej Windaroo, jej świat, który będzie musiała opuścić.

Gabe wybrał sobie fatalny czas. Właśnie dzisiaj, w przeddzień aukcji. Jak tu się cieszyć lotem nad ziemią utraconą? Ziemią, którą ukochała i z której będzie musiała odejść?

Gabe skierował maszynę na północ. Lecieli wzdłuż Mullinjim, do Horseshoe Bend, gdzie rzeka łączyła się z Little Mullinjim.

- Pamiętasz? Kiedyś tu obozowaliśmy - zagadnął od niechcienia Gabe.

Oczywiście, że pamiętała. Przed wielu laty w trójkę, z Jonno, wybrali się konno do zakola Horseshoe i spędzili tu cały tydzień pod namiotem. Od świtu do zmierzchu pływali, łowili ryby i łapali raki.

Wieczorami siadali przy ognisku, piekli ryby i straszli się nawzajem opowieściami o duchach, zbójcach i jeźdźcach bez głowy, a każda następna opowieść musiała być straszniejsza od poprzedniej. Były to najpiękniejsze wakacje Piper.

- Zawracajmy, Gabe! Proszę! - Nie mogła tego znieść. Miała wrażenie, że umiera i całe życie przesuwa się jej przed oczami w jednym błysku. - Czemu mi to robisz? - zawołała. - Czemu każesz mi wspominać najszcześniejsze chwile? Czemu akurat teraz, kiedy muszę się pożegnać z Windaroo?

Gabe zerknął na nią i skierował helikopter na powrót ku farmie.

- Przepraszam - mruknął. - To wszystko przez to, że

chciałem zaszpanować. - Miał taką minę, jakby zamierzał coś jeszcze dodać, ale się rozmyślił.

Przez resztę lotu milczeli. Piper siedziała przygarbiona, bliska płaczu, zła na siebie, że zgodziła się w przypływie słabości wsiąść do helikoptera. Gdyby miała krztę charakteru, pogratulowałaby Gabe'owi zakupu i powiedziała, że w przeddzień sprzedaży własnego domu nie ma czasu ani głowy latać nad pastwiskami.

- Przykro mi, że nie spodobał ci się lot - powiedział Gabe, kiedy wylądowali.

- To nie to. Wiesz, że jutro Windaroo zostanie wystawione na sprzedaż? - zapytała zmęczonym, głuchym głosem.

Gabe spochmurniał, zrobił się czerwony jak burak.

- Wiem.

Widząc jego reakcję, Piper poczuła, że powinna coś powiedzieć:

- Przepraszam, że nasza ostatnia rozmowa... tak się skończyła... ja... - nie mogła wypowiedzieć jednego pełnego zdania.

- Miałaś absolutną rację, Piper. Twoja reakcja była w pełni usprawiedliwiona. To ja ciebie powinienem przeprosić.

Za co? Za to, że mnie nie kocha?

Odwróciła wzrok. Zapadał zmierzch, ze zmierzchem noc. Jej ostatnia noc w Windaroo. Od jutra wszystko się zmieni.

Rozpacz i przytłaczające poczucie osamotnienia. Gdyby potrafiła pić, upiłaby się dzisiaj do nieprzytomności.

Gdyby nie zniszczyła ich przyjaźni, poprosiłaby Gabe'a,

żeby z nią został, podtrzymywał na duchu. Musiała zakochać się w nim i wszystko popsuć. Zbyt wiele żądała. Pragnęła, by kochał ją równie mocno, głęboko, jak ona jego.

Spojrzała na orlicę, potem na ciemniejące niebo.

- Dziękuję za lot, Gabe.

Skinął głową, najwyraźniej pochłonięty własnymi myślami.

Idąc powoli przez padok, słyszała, jak Gabe uruchamia silnik. Nie obejrzała się.

RS  
RS

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Aukcja miała się rozpocząć o jedenastej.

O dziesiątej przyjechali państwo Findleyowie: chcieli obejrzeć dom. Pani Findley nie spodobała się kuchnia, bo nie było zmywarki, w ogóle brakowało tu nowoczesnych sprzętów.

Piper nie próbowała zachwalać walorów obecnego wyposażenia. Zostawiła Findleyów samym sobie i usiadła z Royem na ławce przed domem, czekając na rozpoczęcie aukcji.

Powoli podjazd zapełniał się samochodami, zjeżdżali sąsiedzi, ciekawi przebiegu licytacji. Prowadzący rozstawił na trawniku plastikowe fotele, sam zasiadł na tarasie, skąd mógł widzieć wszystkich zebranych, i punktualnie o jedenastej otworzył licytację:

- Panie i panowie - zaczął oficjalnym tonem. - Windaroo od sześćdziesięciu lat należy do rodziny Delaneyów. Myślę, że wszyscy znają areał farmy, liczebność stad, wreszcie ogólną kondycję gospodarstwa, jeśli jednak ktoś chce zapoznać się z dokładnymi danymi, proszę podnieść rękę.

Nikt się nie poruszył. Piper skamieniała, przytłoczona tym, co działo się wokół.

Przepraszam, dziadku. Wiem, że inaczej to sobie wyobrażałeś.

- Przechodzimy dalej. Wartość rynkowa Windaroo wynosi...

Na podjeździe z piskiem opon zatrzymał się samochód. Licytujący przerwał w pół zdania, wszystkie głowy się odwróciły.

Gabe.

Przeszedł szybko przez trawnik i usiadł na wolnym krześle obok Piper.

- Dzień dobry - rzucił przyciszonym głosem.

- Witaj - próbowała się uśmiechnąć, ale było to ponad jej siły.

Prowadzący zmierzył Gabe'a pełnym nagany spojrzeniem i podjął, gdzie przerwał:

- Wartość Windaroo wynosi dziewięćset tysięcy do miliona dolarów.

Gabe siedział spokojnie, ale kiedy zorientował się, że Piper patrzy na niego, mrugnął do niej i uściśnął jej dłoń.

- Pomyślałem, że przyda ci się wsparcie duchowe.

- Dzięki.

- Zaczynamy od siedmiuset tysięcy - zawołał prowadzący. - Kto da siedemset?

Karl Findley uniósł rękę.

- Mamy siedemset. Siedemset pięćdziesiąt... kto da siedemset pięćdziesiąt?

Gdzieś z ostatniego rzędu zgłosił się jakiś łysy starszy pan.

- Dziękuję. Siedemset pięćdziesiąt po raz pierwszy...

- Osiemset - rzucił Findley.

Każde kolejne przebicie było niczym cios prosto w serce. Piper żałowała, że w ogóle przyszła na licytację. Koszmar!

- Mamy dziewięćset pięćdziesiąt! - wołał prowadzący. - Kto da więcej?

Gabe poruszył się, podniósł rękę.

- Dziewięćset siedemdziesiąt.

- Co ty wyprawiasz? - syknęła Piper.

Nie spojrział nawet w jej stronę, nie raczył też odpowiedzieć.

Dlaczego wszedł w licytację? Nie powiedział jej nawet, że ma taki zamiar.

Teraz siedział wpatrzony w prowadzącego, skoncentrowany na licytacji, jakby to była niebezpieczna misja wojskowa. W pewnym sensie była to misja - chciał pokonać Findleya.

- Ja wysoko zamierzasz licytować? - syknęła w pewnym momencie Piper.

- Do miliona. To moja górna granica - odszepnął Gabe.

- Mamy milion - zawołał prowadzący i Findley podniósł rękę. - Dziękuję. Milion pięćdziesiąt. Kto da więcej?

Piper poczuła piekące łzy pod powiekami.

- Milion pięćdziesiąt - powtórzył prowadzący. - Milion pięćdziesiąt po raz drugi...

Gabe uniósł dłoń.

- Milion sto - podchwycił prowadzący.

- Gabe, nie możesz - przeraziła się Piper.

Gabe posłał jej spojrzenie mówiące, że ma siedzieć cicho.



- Milion sto po raz drugi... - Prowadzący czekał na reakcję Findleya.

Findley uniósł palec.

- Milion sto pięćdziesiąt - zawołał prowadzący. - Kto da milion dwieście? Nie widzę, nie słyszę...

Wśród obecnych przeszedł zdumiony pomruk. Suma znacznie przewyższała wartość rynkową farmy. Piper zamknęła oczy. Nie mogła znieść tego napięcia. Najchętniej zemdlałaby teraz, gdyby miała inklinacje do omdleń. Byłoby bardzo miło stracić świadomość i ocknąć się już po wszystkim.

- Milion sto pięćdziesiąt po raz pierwszy... po raz drugi...

- Mamy milion dwieście!

Piper otworzyła gwałtownie oczy, spojrzała na Gabe' a. Czy on kompletnie zwariował?

W pierwszym rzędzie wybuchło zamieszanie. Zona Findleya zerwała się z krzesła, czerwona jak burak.

- Jeśli będziesz dalej podbijał, Karl, więcej mnie nie zobaczysz! - krzyknęła, po czym szepnęła jeszcze coś mężowi do ucha i odmaszerowała do samochodu.

Findley odprowadził ją wściekłym spojrzeniem, zaklął pod nosem.

Wśród zebranych przeszedł szmer podniecenia.

- Licytuje pan dalej? - zwrócił się do Findleya prowadzący.

Findley długą chwilę siedział bez ruchu i była to najdłuższa chwila w życiu Piper.

W końcu Karl Findley, złodziej bydła, potencjalny nabywca Windaroo, pokręcił głową.

- Milion dwieście po raz trzeci... ostatnia szansa, panowie i panie... Milion dwieście po raz trzeci i ostatni. Windaroo kupuje pan w ostatnim rządzie.

Piper nie mogła złapać tchu, zaczerpnąć powietrza. Była kompletnie oszołomiona. Wstrząśnięta.

Zamieniła się w słup soli.

Ludzie wokół niej podnosili się z krzeseł, wymieniali uwagi, rozchodzili się powoli do samochodów. Roy poklepał ją po plecach. Ktoś się do niej uśmiechał, ktoś się jej kłaniał. Nic do niej nie docierało. Wpatrywała się tępo w Gabe'a, który minął zboląłego Findleya i podszedł do prowadzącego. Widziała, jak wymieniają kilka zdań, ściskają sobie dłonie...

Gabe Rivers kupił Windaroo! Nie mogła w to uwierzyć. Jej umysł nie nadążał za wypadkami, nie ogarniał tego, co się stało.

Roy promieniał.

- Pomyśleć tylko. Nigdy bym nie przypuszczał, że Gabe kupi Windaroo dla ciebie.

- Dla mnie? - Spojrzała na starego pustym wzrokiem.

- Oczywiście, że dla ciebie. - Roy ujął ją pod łokieć i wskazał wracającego Gabe'a. - Podziękujże mu.

• - Ja... nie wiem, co mam robić.

Roy pokręcił głową.

- Znikam. Załatwcie to między sobą, ale moim zdaniem trochę wdzięczności nie zaszkodzi.

W sekundę później przed Piper stanął szeroko uśmiechnięty Gabe.

- Wszystko załatwione. Windaroo jest nasze.

- Nasze? - wychrypiała Piper. - Wspólne?

- Tak. Piper Fleur O'Malley i Gabriel Martin Rivers, współwłaściciele przyszłej firmy Pasterz Windaroo.

- Nie rozumiem. To milion dwieście tysięcy dolarów! Dopiero kupiłeś helikopter. Stać cię na taki wydatek?

- Prawie. Dostałem odprawę z wojska, sprzedałem trochę akcji.

- Chyba nie udziały w Edenvale?

- Nieważne.

- Miałeś licytować do miliona, podbiłeś do miliona dwustu. Windaroo nie jest tyle warte.

- Rynek nieruchomości w Sydney przeżywa boom, ceny idą w górę. W każdej chwili mogę przecież sprzedać moje mieszkanie.

Tyle poświęcenia, takie koszty! Piper chwyciła się za głowę.

- Mój Boże, Gabe. Mogłeś mieć to wszystko za darmo, gdybym zgodziła się wyjść za ciebie.

- Wiem. - Gabe ujął jej dłonie i spojrzał w oczy. - Nie miej wyrzutów sumienia. Odzyskam pieniądze.

- W jaki sposób?

- Wejdźmy do domu i porozmawiajmy spokojnie.

Kiedy znaleźli się w salonie, Gabe starannie zamknął drzwi, zaciągnął zasłony. Po co? Co miał jej takiego do powiedzenia?

- Może usiądziesz i wyjaśnisz mi, o co chodzi? - bąknęła Piper.

- Wolę stać. - Gabe podszedł do niej. Blisko. Bardzo blisko. Spojrzał jej w oczy.

- Co się dzieje?

Objął ją i przyciągnął do siebie.

- Co się dzieje? Chcę cię pocałować.

- Słucham?

Zamierza dać jej kolejną „nauczkę”? Położyła mu dłonie na piersi.

- Kupiłeś Windaroo, ale ja nie jestem do kupienia.

Gabe, niewiele sobie robiąc z tych protestów, musnął jej usta.

- Ciii. Zaufaj mi.

Zaufać? Ufała mu przez całe życie. Ufała jak nikomu innemu. Pomimo wszystko jednak...

Pomimo wszystko pocałował ją.

- Chcę, żebyś zatrzymała Windaroo, Piper - szepnął, unosząc w końcu głowę.

- Dlaczego?

Gabe uśmiechnął się szeroko.

- Dlatego.

Znowu ją pocałował. Tym razem był to bardzo, bardzo długi pocałunek.

- A teraz - zażądała Piper, kiedy odzyskała wreszcie możliwość mówienia - wytłumacz mi wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Gabe nigdy w życiu nie był tak zdenerwowany. Udział w misji pokojowej ONZ w Somalii był niczym w porównaniu z tym, co czekało go teraz.

Od tej rozmowy zależało wszystko. Ważył się jego los, jego szczęście i jego życie.

Przed czterema tygodniami, kiedy Piper odrzuciła jego ofertę, wreszcie spojrział prawdzie w oczy. Nie mógł już dłużej udawać, że ma do czynienia ze słodkim dzieckiem, który wszędzie za nim łązi. Musiał powiedzieć sobie, że braterska miłość, ta miłość, którą czuł do niej od chwili jej narodzin, umarła definitywnie.

Wszystko zaczęło się w momencie kiedy oznajmiła, że musi wyjść za mąż. Bronił się jeszcze, nie chciał przyjąć do wiadomości, że pragnie jej dla siebie.

Był tak skoncentrowany na zaprzeczaniu własnym uczuciom, że nie zastanowił się ani przez moment, co może czuć Piper.

Tamtego dnia, gdy przyjechała do niego prosto od reagenta, okazał się skończonym kretynem, sądząc, że przyjmie jego rozsądną, wykalkulowaną propozycję.

Odmowa zaboląła, więc uciekł do Sydney. Matka miała rację, mówiąc, że powinien wszystko przemyśleć spokoj-

nie i że oddalenie dobrze mu zrobi. Rzeczywiście, wreszcie dotarła do niego prawda.

Nie wyobrażał sobie życia bez Piper O'Malley i modlił się, by ona czuła podobnie.

Bał się potwornie, że Piper odepchnie go i tym razem. Strach chwycił pazurami za gardło, nie pozwalał oddychać. Raz już proponował, że kupi Windaroo, odmówiła. Raz już proponował jej małżeństwo, odmówiła. Teraz ma ostatnią szansę, nie może popełnić żadnego błędu. Nie może jej stracić.

Drżącą dłonią dotknął jej policzka.

- Kocham cię - powiedział zdławionym głosem.

Piper krzyknęła cicho, w oczach zalśniły łzy, ale, jak mu Bóg miły, nie wiedział, czy to ze szczęścia, czy przeciwnie, ze zgrozy, że śmiał powiedzieć coś podobnego.

Brnął dalej:

- Ostatnim razem wszystko popsułem. Nie powiedziałem ci, co do ciebie czuję.

- Nie, nie powiedziałeś.

- Nie podszedłem nawet do ciebie, co mi wytknęłaś.

- Próbujesz mi się oświadczyć? Znowu? - zapytała Piper dla jasności, ale w jej głosie brzmiała silna nuta niedowierzania.

Na szczęście nie odepchnęła go jednak, kiedy ją objął.

- Możesz mnie nazwać natrętem, ale jesteś mi potrzebna, Piper. Chcę przeżyć z tobą życie, chcę z tobą być. I chcę, żeby nie było co do tego żadnych wątpliwości. Dlatego stoję tutaj, przy tobie, trzymam cię w ramionach i przysięgam na wszystko, że cię kocham. Kocham cię i pożądam. Zawsze będę cię kochał.

- Gabe! - Zarzuciła mu ręce na szyję i oddała pocałunek. Gabe odsunął się po chwili.
- Mam rozumieć, że mnie tym razem nie odrzucasz?
- upewnił się.  
Ku jego przerażeniu Piper znieruchomiała, zamarła.
- Co się stało?  
Cofnęła się o krok.
- Nie odpowiadała. Stała po prostu na środku pokoju i ocierała łzy z mocno zakłopotaną miną..
- Piper, o co chodzi? - powtarzał pełen najgorszych przeczuć.  
Uśmiechnęła się niepewnie i zaczęła powoli rozpinać bluzkę.
- Czy... czy to znaczy, że wyjdiesz za mnie? - wykrztusił Gabe.
- Jeszcze pytasz? - zdziwiła się Piper. - Nie widzisz, że jestem w tobie zakochana po uszy? Czy w innym razie rozbraiałabym się przed tobą? Oczywiście, że wyjdę za ciebie. - I rzuciła mu się w ramiona.

Na wielkim nakrytym spłowiła błękitną narzutą łóżku w sypialni dziadka leżał bukiet białych, kremowych i różowych róż.

Piper stała przed owalnym lustrem i zakładała kolczyki z pereł i brylancików, należące kiedyś do jej matki. Raz jeszcze spojrzała na własne odbicie i uśmiechnęła się promiennie.

Suknię ślubną wybrała sama, bez pomocy April. Zdecydowała się na pierwszą. Przymierzyła ją i od razu wiedziała, że nie będzie już szukać niczego innego. Dopaso-

wany stanik bez rękawów, z dużym dekoltem, kloszowa spódnica z jedwabnej organdy i tafty, na sztywnej halce. Po prostu bajkowa suknia. I bardzo romantyczna.

Do tego złota bransoletka z zapięciem w kształcie podkowy, wysadzany szafirami — prezent ślubny od Gabe'a.

- To na szczęście dla panny młodej - powiedział, dając jej klejnocik - ale prawdę powiedziawszy, mam chyba obsesję na punkcie podków.

Uśmiechnęła się na wspomnienie tych słów, wzięła bukiety leżący na łóżku i zobaczyła, że w drzwiach stoi Roy. W czarnym garniturze, uroczysty, starannie uczesany, jeśli w ogóle miał co czesać, podejrzenie mrugał, jakby siłą powstrzymywał cisnące się do oczu łzy.

- Roy! Wyglądasz wspaniale!

- Dzięki, Piper. - Wyciągnął z kieszeni spodni chustkę, otarł oczy i wydmuchał nos. - To samo miałem powiedzieć. Wyglądasz po prostu fan-tas-tycz-nie.

- Dziękuję. - Dla pewności zerknęła jeszcze raz w lustro. - Mam nadzieję, że Gabe będzie tego samego zdania.

- Ma się rozumieć. Będzie zachwycony. - Roy uśmiechnął się trochę smutno. - Staruszek Michael byłby z ciebie dumny, gdyby mógł cię teraz widzieć.

Piper na te słowa poczuła bolesny ucisk w gardle. Zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech.

- Dość roztkliwiania się, mój druhu. Kto to widział, żeby panna młoda w dniu swojego ślubu zalewała się łzami. Dość, że przepłakałam całą noc, myśląc o dziadku, o rodzicach. Tak mi przykro, że nie będzie ich ze mną dzisiaj. - Zmusiła się do uśmiechu. - Nie wracajmy do przeszłości. Dzisiaj muszę myśleć o przyszłości.



- Masz rację, kochanie. Przepraszam. - Zapadło niezręczne milczenie, ale już po chwili Roy się rozpogodził i mrugnął do Piper. - Mam dla ciebie wiadomość, która powinna cię ucieszyć.

- Co to za wiadomość?

- Wczoraj aresztowali Karla Findleya. Przeszedł nakaz z Australii Zachodniej, z Kimberley. Odeślą go tam za parę dni. Wszystko wskazuje na to, że posiedzi sobie za kratkami. Za kradzież bydła oczywiście. Musiałem spędzić Gabe'a, bo już biegł tutaj, pierwszy chciał ci przekazać nowinę.

Piper odwróciła się gwałtownie.

- Widziałeś się z Gabe'em?

- Tak. Jest tutaj. Zwarty i gotowy pójść do ołtarza.

- Jak wygląda?

Roy uśmiechnął się szeroko i uniósł kciuk.

- Świetnie, Piper. Zakasowuje tych wszystkich hollywoodzkich przystojniaków.

- Och - westchnęła Piper. - Nie mogę się już doczekać, kiedy go zobaczę.

- Oszalejesz na jego widok, powiadam ci.

Wymienili konspiracyjne uśmiechy. Przez ostatnie sześć tygodni Gabe praktycznie mieszkał w Windaroo i Roy miał okazję przekonać się naocznie, jak bardzo tych dwoje się kocha.

- Przyjechali koledzy Gabe'a z wojska. Chłopcy jak świerki, jeden w drugiego - dodał Roy. - Amerykanie. Kilku przynajmniej, sądząc po akcencie. A jakie eleganckie damy z nimi zjechały.

Piper miała coraz większą treść. Gabe co prawda za-

pewniały, że na pewno koledzy ją pokochają, Eleonora z kolei powtarzała jej, żeby o nic się nie martwiła, bo zaufana firma cateringowa z Mullinjim, która organizowała przyjęcie weselne, doskonale wywiąże się z zadania. Piper ma myśleć tylko o sobie, o ślubie, ma się cieszyć swoją uroczystością i uśmiechać.

Łatwo powiedzieć.

- Roy, spójrz proszę, dobrze upięłam welon? Prosto?

Roy obszedł ją wkoło, dokładnie obejrzał welon ze wszystkich stron.

- Po mojemu dobrze - orzekł w końcu ostrożnie i zaraz dodał: - Weź jednak pod uwagę, że nie znam się na welonach ślubnych. W ogóle nic nie wiem o ślubach. - Biedakowi oczy wyszły z orbit, grdyka poruszyła się kilka razy gwałtownie. - Żebym tylko nie narobił ci wstydu.

- Spokojnie, Roy. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Dasz sobie radę. Podasz mi ramię i przeprowadzisz przez taras, potem przez trawnik, pod drzewo dzakarandy, pod to samo, pod którym moi rodzice brali ślub, tam będzie czekał Gabe. To wszystko. Resztą zajmie się pastor Parker.

- Wyjęła z pudełka na toaletce chusteczkę higieniczną, otarła pot z czoła Roya i pocałowała staruszkę w policzek. - Tak się cieszę, że to ty poprowadzisz mnie do ślubu.

Royowi znowu zwilgotniały oczy i zamrugał kilka razy gwałtownie.

- To dla mnie prawdziwy zaszczyt, Piper. Prawdziwy zaszczyt - powtórzył. - Jestem bardzo dumny.

Piper zerknęła na staroświecki zegarek podróżny stojący na szafce przy łóżku.

- Już czas.

Roy uśmiechnął się i podał jej ramię.

- Idziemy - powiedziała Piper.

Piper nie dostrzegała gości zebranych na tarasie, widziała tylko Gabe'a, nikogo poza nim jednym, jedynym. Stał pod obsypanym błękitnymi kwiatami drzewem dżakarandy, uroczysty i zachwycający. Stał plecami do niej, w czarnym garniturze i śnieżnobiałej koszuli, z krótko ostrzyżonymi, jak zawsze, włosami.

Kiedy pokazała się w drzwiach, prowadzona przez Roya, i kwartet skrzypcowy zagrał pierwsze takty marsza weselnego, Gabe się odwrócił i jego twarz rozświetlił uśmiech, który tak dobrze znała i który zawsze przyprawiał ją o gwałtowne bicie serca. Uśmiech, w którym zawierała się cała ich wspólna przeszłość i obietnica wspólnego szczęścia na przyszłość. Piper dotknęła wysadzanej szmaragdami podkowy przy bransoletce i szepnęła do Roya:

- Prowadź mnie do mojego mężczyzny.

## EPILOG

Gabe wyszedł z zagrody dla bydła i ruszył w stronę domu. Swojego domu. Niskiego, rozłożystego budynku otoczonego tarasami, posadowionego na zielonym trawniku pod błękitnym niebem.

Słyszał śpiew ptaków ukrytych w koronach drzew, czuł w nozdrzach zapach świeżo oranej ziemi i był szczęśliwy.

Był u siebie. Powrócił. Ciągłe jeszcze go to zaskakiwało, ale życie w Windaroo oznaczało, że może być z Piper, a to było najważniejsze, tylko to, tak naprawdę, się liczyło.

Wszedł do domu, wziął prysznic i prosto z łazienki pospieszył do kuchni. Po drodze zdążył zauważyć, że Piper nakryła już do kolacji, a kolacja zapowiadała się uroczyście, bo świętowali tego dnia urodziny Eleonory. Stół był odpowiednio przygotowany: ręcznie malowana porcelana, którą dostali w prezencie ślubnym, śnieżnobiały obrus, srebrne sztuce... Całości dopełniał ustawiony na środku bukiet czerwonych róż, ulubionych kwiatów matki Gabe'a.

Kiedy wszedł do kuchni, Piper odwróciła się od zlewozmywaka i na widok męża oczy jej rozbłysły ciepłym uśmiechem.

Boże, jak on kocha tę kobietę. Każdego dnia dziękował

swojej szczęśliwej gwiazdzie, że Piper zgodziła się wyjść za niego.

- Stół wygląda wspaniale. Zapachy wspaniałe. Co przygotowałaś?

- Żeberka jagnięce z groszkiem, pieczone ziemniaki, a na deser placek z truskawkami. Przeszłam samą siebie - oznajmiła z dumą. - Ulubione dania twojej matki.

- Matka wie, co dobre. - Gabe położył dłonie na ramionach żony. - To u nas rodzinne. - Pocałował ją lekko w kark, tuż za uchem, a kiedy sięgnął po truskawkę, dała mu po łapach.

- Ręce przy sobie. Roy i Bella zebrali już wszystkie truskawki z krzaków, jak będziesz wyjadał, nie wystarczy do ciasta.

- Nie mam zamiaru trzymać rąk przy sobie - szepnął i na dowód prawdziwości swoich słów objął Piper, dotykając lekko jej zaokrąglonego brzucha.

- Jak się miewa moja ukochana przyszła mama?

- Twoja ukochana przyszła mama tryska energią. W każdym razie w tej chwili. - Piper obróciła się w jego ramionach i spojrzała mu w oczy. - Dlatego chciałam urządzić kolację urodzinową dzisiaj, dopóki jeszcze się trzymam. Na tydzień przed urodzeniem Belli też tryskałam energią, więc przez najbliższe dni trzymaj się w pobliżu domu, nie bierz dalekich lotów. Możesz być mi potrzebny.

- Nie ruszę się z Windaroo nawet na krok - obiecał.

- Zresztą nie będę musiał. Moja ekipa tak się zgrała, że mogą z powodzeniem latać beze mnie.

- To dobrze. - Piper pocałowała męża w podbródek.

- Nie chcę rodzić bez ciebie.

, Gabe przesunął palcem po jej policzku i pocałował ją w czubek nosa.

- Spróbowałabyś, myszko.

Przed domem zatrzymał się samochód i nagle w kuchni zawirowało. To czteroletnia osóbką i kilka płaczących się wokół osóbką szczeniaków narobiło takiego zamieszania.

- Co u diabła...?! - zawołał Gabe.

- Babcia! Dziadek! - wrzasnęła w odpowiedzi jego własna córka.

- Bella! Zaczekaj!

Odziana w spłowieate dżinsy i różowy T-shirt osóbką odwróciła się i posłała ojcu pełne urazy spojrzenie, jakby chciała mu powiedzieć, że jak wszyscy dorośli nic a nic nie rozumie.

- Me mogę czekać - wyjaśniła, przekrzykując radosne ujadanie szczeniaków. - Babcia przyjechała!

- Owszem, możesz - powiedział Gabe stanowczym tonem.

- Dziadek też przyjechał, i wujek Jonno. I oni strasznie, ale to strasznie chcą mnie zobaczyć - upierała się osóbką.

Gabe podszedł do drzwi, otworzył je, wypuścił szczeniaki, po czym zamknął drzwi na powrót.

- Dziadkowie i wujek wytrzymają kilka sekund, a ja tymczasem rozmówię się z tobą. Tłumaczyłem ci chyba, że nie wolno trzymać psów w domu, a ty znowu zabrałaś je do swojego pokoju, tak?

Osóbką nadąsała się okropnie.

- No bo Dick, Harry i Tim tęskniły za mną i były takie smutne...

- Mówiłem ci sto razy, one nie są do zabawy, to pasterskie psy, muszą uczyć się pilnować stad. Nie wolno ich rozpieszczać, mają pracować.

Osóbka wzięła się pod boki.

- Ale, tato. Jest niedziela. W niedzielę nawet psy nie powinny pracować, no nie?

Gabe'owi udało się powściągnąć uśmiech. Przyklęknął koło córki. I to był błąd, bo zielone oczy Belli patrzyły mu teraz prosto w twarz. Tak, oczy Bella miała po nim, ale tylko oczy, resztę wzięła po matce. Jak Piper, była zdeterminowana i dzielna.

Gabe ustąpił, jak zawsze.

- Dobrze, w niedzielę psy mają wolne, możesz się z nimi bawić, smyku. Ale tylko przez kilka tygodni, potem koniec.

Bella uśmiechnęła się szeroko, uściskała ojca i już jej nie było. Już witała się z dziadkami i wujem.

- Robi z tobą, co chce - powiedziała Piper z uśmiechem.

Gabe wzruszył ramionami.

- Jest jak jej matka. Ty też możesz robić ze mną, co chcesz.

— Dzięki Bogu. - Piper otworzyła ramiona i zdążyli się pocałować, zanim w kuchni pojawiła się rodzina.